

KUŹNICA

Biblioteka Miejska
1/4 dz
Andrzeja 14.

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„Nas zapewne nie uratuje na wpół spróchniała i butwiejąca Europa, lecz ta Europa, której moc i dzielność coraz się zwiększa i pomnaża“

Maurycy Mochnacki

Rok 2

Łódź, 16 września 1946 r.

Nr 36 (54)

ALEKSANDER HERTZ (New York)

Ameryka Louisa Adamica

Emigrant z Jugosławii

Kariera bezmała w stylu klasycznych amerykańskich success stories: czternastoletni chłopiec wysiada w porcie nowojorskim, od razu zaczyna zarabiać na siebie, zostaje roznosicielem gazet, robotnikiem — najpierw w fabryce jedwabiu, później w fabryce obuwia, jest kelnerem, zaciąga się jako marynarz na statek handlowy i — wreszcie, po latach — osiąga szczyt powodzenia, jest znany i ceniony w całej Ameryce. Ale kariera Louisa Adamica nie co do joty odpowiada klasycznemu wzorowi amerykańskiej legendy o powodzeniu. Adamic nie został milionerem. Rozgłos swój zawdzięcza szeregowi książek i artykułów, jakie dotąd napisał. Zawdzięcza go również swej działalności na szerszej arenie publicznej. Louis Adamic zajął wcale poważną pozycję we współczesnym piśmiennictwie Stanów Zjednoczonych.

Warto jest choćby pokrótce zapoznać czytelnika z osobą tego interesującego pisarza, o którym — jak sądzę — w Polsce wie się bardzo mało. Adamic urodził się w roku 1899 w Carniołi, która podówczas wchodziła w skład dawnej dwujęzycznej monarchii. Z tej części dzisiejszej Jugosławii od lat płynęła do Ameryki znaczna fala wychodźców słoweńskich i chorwackich. Fala ta zaniósła i młodego Louisa, który w roku 1913 znalazł się w metropolii amerykańskiej.

Swoją działalność na nowej ziemi zaczął Adamic w redakcji nowojorskiego piśmiennictwa słoweńskiego. Był tu chłopcem na posyłki i roznosicielem gazet. Później zaczął pisywać artykułki. Imał się zresztą wszelkich zawodów, jak o tym już była mowa poprzednio. Typowa kariera amerykańska, nieczęsto, wbrew legendom, wieńczona powodzeniem. Po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do pierwszej wojny światowej Adamic znalazł się w szeregach armii amerykańskiej. Z nastaniem pokoju próbuje swych sił na polu dziennikarskim. Teraz już w języku angielskim. Decydujące dla przyszłości Adamica wydarzenie przyszło w roku 1923. Wielki Henry L. Mencken, bojowy redaktor w owym czasie bojowego „The American Mercury”, przyjął i wydrukował jego artykuł. Błogosławieństwo Menckena znacząco bardzo dużo. W roku 1931 Adamic mógł już znaleźć wydawcę dla swej pierwszej książki. A była to książka odważna. Nosiła tytuł „Dynamit” i była historią krzywdy klasowej, gwałtu i bezprawia, popełnianego przez możnych na słabych, w ciągu stulecia dziejów Stanów Zjednoczonych od roku 1830.

Książką tą Adamic określił swe stanowisko pisarza społecznie radykalnego, socjalisty, obrońcy słabych i wciśnionych, bojownika, który bezkompromisowo wskazuje na źródła krzywdy mas ludzkich i źródła te piętnuje. Adamic utożsamiał się z postępowym obozem amerykańskiej myśli politycznej i społecznej, zajmując w tym obozie miejsce bardzo poważne.

Po „Dynamicie” przysła kolej na dalsze książki, pisane w podobnym duchu. Wymienię tu najważniejsze: „My Native Land”, „What's Your Name”, „The Native's Return”, „Laughing in the Jungle”, „Grandsons”, „Cradle of Life”, „House in Antigua”, „From Many Lands”, „Two-Way Passage” i wydana niedawno „A Nation of Nations”.

Ale radykalizm polityczny i społeczny nie jest jedyną dominującą cechą tych książek. Obok niej występuje i druga, i ona to faktycznie wyznacza klimat duchowy twórczości Adamica. Są to książki pisane przez wychodźcę z Europy, przez emigranta, który porzucił starą ojczyznę, by za oceanem znaleźć ojczyznę nową. Tę nową ojczyznę pokochał całym sercem i całą duszą. Zaczął pisać jej językiem, myśleć jej kategoriami, przyjął jej rzeczywistość za własną. Uczynił to jednak nie w sposób bierny. Postawa, jaką Adamic przyjął amerykańzując się, była nawskroś aktywna. Stając się Amerykaninem, postanowił równocześnie walczyć o lepszą Amerykę. Przyjął Amerykę mając całą świadomość, że wiele jest w niej złego, wymagającego naprawy. W jego przekonaniu lojalność wobec nowej ojczyzny nałożyła nań obowiązek walki z tym, co w niej jest złe, co musi być usunięte lub naprawione. I to uważał za bardzo amerykańskie, za bardzo zgodne z tymi tradycjami, które tyłu krytykującym przybyszom począwszy od Alexandra Hamiltona dały czołowe miejsca w Pantheonie chwały narodu Stanów Zjednoczonych.

Równocześnie jednak Adamic, przyjmując nową ojczyznę, nie wyrzekł się całkowicie starej. I to właśnie stało się fundamentem jego filozofii, a z osoby jego i działalności uczyniło zjawiska tak bardzo interesujące. Emigrant, utożsamiając się z Ameryką, utożsamiał się przede wszystkim z tak doniosłą częścią rzeczywistości amerykańskiej, jaką są miliony niedawnych przybyszów do Ameryki, emigrantów ze wszystkich zakątków naszego globu. I utożsamiając się z tymi milionami, Adamic nie mógł zapomnieć swej dawnej ojczyzny. Albowiem, w przeświadczeniu jego, te dawne ojczyzny to właśnie najważniejszy wkład, jaki emigranci przynieśli ze sobą do Ameryki. „Jugosłowianizm” jest dla Adamica tą legitymacją moralną, z jaką występuje wobec Ameryki, tym wkładem, jaki chce wnieść do swej amerykańskiej ojczyzny i jej kultury.

Adamic napisał piękną książkę o Jugosławii (The Native's Return), w której, podając swe wrażenia z odwiedzin „starego kraju”, odnajduje w przywiązaniu do Jugosławii podstawowe źródło swej lojalności wobec Stanów Zjednoczonych. I pochłonięty życiem amerykańskim, ani na chwilę nie przestaje interesować się sprawami jugosłowiańskimi. W okresie rządów króla Aleksandra Adamic pisze płomienną broszurę (Struggle), w której demaskuje dyktaturę, jaka podówczas panowała na ziemi jugosłowiańskiej. W czasie wojny ostatniej stał się szermierzem ideałów jugosłowiańskiego ruchu partyzanckiego. Tłumaczył Ameryce rolę marszałka Tita i był jego niejako nieoficjalnym ambasadorem. I jeżeli w Stanach Zjednoczonych wytworzyło się jakieś zrozumienie dla zmian, zachodzących dziś w Jugosławii, to w ogromnej mierze było to zasługą Adamica, który w okresie największej popularności Michajłowicza odważnie mówił o nim prawdę. Adamic jest również bardzo aktywny w tak zwanym ruchu amerykańsko-słowiańskim. Jest on wice-przewodniczącym Kongresu Słowian Amerykańskich (przewodniczącym jest znany w Polsce Leo Krzycki), redaguje biuletyn, broniący idei jedności i solidarności Słowian, jest wypróbowanym przyjacielem Nowej Polski.

W tym swym „wszechsłowiańskim” stanowisku jest Adamic bardzo daleki od jakiegokolwiek ciasnego szowinizmu i nacjonalizmu. Jego „wszechsłowianizm” jest głęboko demokratyczny, ludowy, społecznie radykalny. Jest też bardzo ogólnoludzki i bardzo — w najlepszym tego słowa znaczeniu — amerykański. I to ostatnie jest szczególnie ważne. Albowiem Louis Adamic jest w swej filozofii i postawie moralnej przede wszystkim Amerykaninem, nie dającym się zrozumieć w oderwaniu od amerykańskiej przeszłości i teraźniejszości. To też czyni z Adamica postać tak interesującą dla każdego, kto stara się zrozumieć jakże specyficzną rzeczywistość amerykańską. Rozumienie Adamica jest jedną z dróg prowadzących do rozumienia tej rzeczywistości.

Naród narodów

Punktem wyjściowym dla filozofii Adamica jest jego definicja cywilizacji amerykańskiej. Dobre jej sformułowanie znaleźliśmy w poniższym ustępie książki „A Nation of Nations”:

„Istnieją dwa sposoby patrzenia na naszą (Adamic ma tu — rzecz jasna — na myśli amerykańską) historię”.

„Oto pierwszy z nich: Stany Zjednoczone to kraj anglosaski, którego białoprotestancko-anglosaska cywilizacja (White-Protestant-Anglo-Saxon civilisation) toczy walkę o zachowanie swego istnienia przeciw innym cywilizacjom, które, przyniesione przez murzynów i hordy „obcokrajowców”, starają się do niej przeniknąć i ją skazić”.

„A oto drugi z nich: jakkolwiek język Stanów Zjednoczonych jest angielski, to jednak wzór kulturalny tego kraju (Adamic mówi tu o wzorze w ogóle — „the pattern of the United States” — co w języku angielskim ma szersze znaczenie, niż w języku polskim) nie jest zasadniczo anglosaski. Nie jest to również wzór anglosaski, który został upstrzony jakimś cerami i łafami. Wzór amerykański to nie łatanina, to stop kultur wielu krajów, to tkanina z nici, pochodzących z wielu zakątków świata. Sama właśnie różnorodność tworzy tu wzór, materiał i kolor tkaniny. Albo, wyrażając się nieco inaczej: Stany Zjednoczone to nowa cywilizacja, która wiele zawdzięcza plemieniu anglosaskiemu, ale również wiele ze swego dziedzictwa i rozwoju zawdzięcza innym elementom. Zawdzięcza też ona wiele wyjątkowym właściwościom i mocnym bodźcom, pochodzącym z tego ładu, z rozmachu tej ziemi między dwoma oceanami, z przemieszania się i swobodnego obcowania ze sobą jej ludów, z obfitości jej bogactw naturalnych, z umiejętności, które my wszyscy tu przynieśliśmy ze sobą lub tu rozwinięliśmy w ciągu trzech ostatnich stuleci”.

Więc dwa różne sposoby patrzenia na historię Stanów Zjednoczonych i zarazem dwie sprzeczne definicje cywilizacji amerykańskiej. Adamic kategorycznie odrzuca pierwszą z nich. Co więcej — jego własna definicja jest wyzwaniem, rzuconym tradycyjnemu ujmowaniu historii i kultury narodu amerykańskiego. Jest ona również wyzwaniem, rzuconym tej filozofii wychowawczej, jaka jeszcze teraz panuje na dużej części terytorium Stanów Zjednoczonych.

Cywilizacja amerykańska jest w oczach Adamica czymś nowym i swoistym. Jest to synteza czy stop z wielu elementów, pochodzących od wszystkich narodów na-

szego globu, zespolonych w jedno dzięki specyficznym warunkom, jakie wytworzyły się na ziemi amerykańskiej. Warunki te są bardzo różnorodne, ale najważniejszym z nich jest ten, który — w przekonaniu Adamica — stał się podstawą całego procesu stapiania się różnych kultur w jedną — amerykańską demokrację, umożliwiającą swobodne obcowanie tak przedtem dalekich sobie ludów. Skombinowanie się dwóch zasadniczych elementów — demokracji i różnorodności plebiennej — wytworzyło społeczeństwo, które wbrew wszelkim przeszkodom i własnym błędom potrafiło osiągnąć wyjątkową tężyźnię i żywotność.

Adamic podkreśla zarówno młodość jak i dynamizm cywilizacji amerykańskiej. Jest ona ciągle w stadium tworzenia się, formowania się, ustalania swego kształtu. Swą żywotność, swój dynamizm, swe oblicze zawdzięcza ona wolnemu współdziałaniu i wzajemnemu oddziaływaniu na siebie różnorodnych kultur, treści etnicznych, tradycji i obyczajów, przyniesionych przez wychodźców ze wszystkich zakątków świata. Swobodne oddziaływanie i różnorodność to właśnie jest Ameryka („The interplay, the diversity, is America”).

Autor „My America” i „A Nation of Nations” widzi w tak pojmowanej przez siebie Ameryce wzór dla reszty świata. Widzi też w niej początek drogi, po której cała ludzkość iść powinna. Adamic wie, że będzie to droga bardzo trudna. Ma też zupełną świadomość, że i w samej Ameryce owe swobodne oddziaływanie różnorodnych kultur i treści etnicznych natrafia na liczne przeszkody. Nie wątpi jednak, że przeszkody te są przezwyciężalne i że w ten sposób powstaje nowa forma współżycia w obrębie jednego narodu, forma, która może stać się wzorem dla całej ludzkości.

A jednak — podłoże jest anglosaskie!

Tak w najbardziej schematycznym ujęciu da się sformułować podstawowa przesłanka filozofii Louisa Adamica. Ażeby jednak dojść do sedna tej koncepcji, trzeba wyjść poza obręb tekstów książki Adamica i sięgnąć do szerszego tła współczesnej rzeczywistości amerykańskiej. Adamic jest tu zjawiskiem bardzo symptomatycznym i z tego względu zasługującym na szczególne zainteresowanie z naszej strony.

Zacznijmy od zasadniczego pytania: w jakim stopniu poglądom Adamica, skonfrontowanym z rzeczywistością amerykańską, można przyznać słuszność?

Niewątpliwie w poglądach tych są twierdzenia, których prawdziwości nikt kwestionować nie może. Jest więc faktem bezspornym, że istnieje naród amerykański, i że istnieje specyficzna cywilizacja amerykańska. Jest to naród młody i młoda jest jego cywilizacja. Słusznie mówi Adamic, że jedno i drugie jest „still in process, still being generated and shaped”. I jako naród i jako cywilizacja Ameryka różni się (i to bardzo głęboko) od innych narodów i cywilizacji naszego świata.

W Europie wciąż jeszcze stawia się znak równania między cywilizacją amerykańską i cywilizacją angielską czy — szerzej — brytyjską. Trudno o większy błąd: cywilizacja, jaka powstała w Stanach Zjednoczonych, jest bardzo różna od cywilizacji angielskiej, w wielu punktach jest jej nawet diametralnie przeciwna. Cywilizacja angielska ma bez porównania więcej wspólnego

nego z cywilizacjami narodów kontynentalnej Europy, niż z tym, co zostało stworzone przez amerykańskich „kuzynów” Brytyjczyków. I Anglicy i Amerykanie wiedzą o tym doskonale. Amerykanie bodaj jeszcze lepiej, niż Anglicy. Wspólnota językowa i związki przeszłości nie decydują o pokrewieństwie (nie mówiąc już o tożsamości!) w czasach dzisiejszych. I ta obiektywna odrębność obu cywilizacji ma większe znaczenie, niż tak w Ameryce rozpowszechnione i mocne postawy antagonizacyjne wobec angielskich „krewniaków”. Anty-brytyjskość jest ważnym składnikiem filozofii narodu amerykańskiego i wypływa ona nie tylko ze wspomnień, wciąż bardzo żywych, wojny rewolucyjnej i wojny roku 1812 (o tej ostatniej sami Anglicy dawno już zdążyli zapomnieć). Ale nawet gdyby tej anty-brytyjskości w Ameryce nie było, fakt zasadniczy nie uległby zmianie — Anglicy i Amerykanie to dwa zupełnie dziś różne narody.

Do tej pory zgadzamy się więc z Adamiciem w zupełności. Ale tylko do pewnego punktu. Jeżeli bowiem cywilizacja amerykańska jest tak bardzo specyficzna i tak bardzo różna od angielskiej, to niemniej za jej osnowę trzeba przyjąć to, co najogólniej daloby się określić jako „anglosaskość”. Jest to coś znacznie więcej, niż ów wkład anglosaski, o którym — obok innych wkładów — mówi Adamic. Ludzie cywilizacji anglosaskich (Anglicy, Szkoci, Walijscy, Kornwalijczycy, ba — nawet możemy tu wymienić Irlandczyków) dali Ameryce znacznie więcej, niż ludzie innych cywilizacji, włączając w to tak ważne dla dziejów Ameryki elementy, jak Holendrowie, Szwedów, Francuzów, Niemców i Hiszpanów. To są rzeczy, których Adamic nie docenia. I nie jest rzeczą przypadkową, że ich nie docenia.

Emigracje anglosaskie stworzyły w Ameryce tę bazę, na której dopiero mogła się rozwinąć swoista cywilizacja amerykańska, włączając w nią wkłady wszystkich innych grup etnicznych. Oczywiście to wiano, które zostało przyniesione z wysp brytyjskich, przeszło w Ameryce, przez ogromne przeobrażenia. Ale to, co dziś określamy jako cywilizację amerykańską, jest wynikiem przede wszystkim właśnie tych przeobrażeń, jakie w dolinach Hudsonu, Missisipi i Missouri, w Górach Skalistych i nad Pacyfikiem nastąpiły w owym pierwotnym wianie anglosaskim. Inna rzecz, że w przemianach tych swój udział miała każda z niezliczonych nieanglosaskich grup emigracyjnych.

Jakież to najważniejsze bogactwa złożyły się na owe pierwotne wiano anglosaskie?

Włoc — przede wszystkim — język. Mówiliśmy już, że wspólnota językowa w żadnej mierze nie świadczy o wspólności cywilizacyjnej czy narodowościowej Ameryki i Anglii. Trzeba to podkreślić z całą mocą. Z tego, że mowa, którą się posługują Amerykanie, jest tą samą, jaką się posługują Anglicy, nie wynika wcale, by można tu było stawiać jakiś znak równości między obu narodami czy obu cywilizacjami. A jednak fakt, że właśnie język angielski stał się narodową mową Stanów Zjednoczonych, miał dla cywilizacji amerykańskiej kolosalne konsekwencje. I to w pierwszym rzędzie na udział w tej cywilizacji nieanglosaskich grup emigracyjnych.

Aby stać się Amerykaninem, Holender, Niemiec, Skandynaw, Włoch, Polak, Czech, Grek czy Jugosłowianin musieli zacząć mówić po angielsku i myśleć po angielsku. Louis Adamic, dobry Amerykanin, szczerzy i gorący patriota Stanów Zjednoczonych, pisze po angielsku. I choć ma tyle zainteresowań dla Jugosławii, to przecież nie serbo-chorwacki jest jego mową ojczystą, językiem jego twórczości i myśli.

A przyjęcie przez emigranta nieanglosaskiego razem z Ameryką języka angielskiego miało bardzo poważne następstwa psychiczne i kulturalne. Przybysz musiał się asymilować do mowy angielskiej i do tego świata pojęć, jaki ta mowa wyrażała. Jak długo mowy tej nie znał, tak długo był poza obrębem wspólnoty amerykańskiej, tak długo był istotą niższą, podrzędną, barbarzyńską. Warunkiem jego awansu jako jednostki i jako członka grupy było przewyciężenie największej przeszkody na drodze do korzystania z dobrodziejstw Ameryki — nieznajomości języka angielskiego. Ta nieznanomość lub słaba znajomość — to jedna z najważniejszych przyczyn powstawania

wśród obcojęzycznych emigrantów kompleksu niższości, to zarazem jedna z głównych przyczyn tworzenia się „Ghett” narodowościowych i to tym samym jedna z przyczyn zwolnienia tempa procesów emancypacyjnych w masach nie-Anglosasów.

I trzeba powiedzieć bardzo wyraźnie — aby ci przybysze mogli wnieść jakiś swój wkład w cywilizację amerykańską, musieli przedtem wejść do angielsko-amerykańskiej wspólnoty językowej. Bez tego byli poza obrębem amerykańskich procesów kulturotwórczych, bez tego nie mieli środka zaznaczenia swej obecności w Ameryce. Im bardziej bogata, różnorodna i specyficzna staje się cywilizacja amerykańska, im więcej ma ona Dos Passosów, Dreiserów, Steinbecków, Richardów Wrightów, La Guardiów, Hillmanów i Adamiców, tym bardziej słabnie, kurczy się i jałowiej życie grup „obcojęzycznych”, tym rzadziej słyszy się mowy nieangielskie, dostrzega przejawy aktywności obcych kultur. Wszyscy ci ludzie, pisarze i działacze publiczni, których przed chwilą wymieniliśmy, weszli do cywilizacji amerykańskiej i ją wspólnie wzbogacili dzięki temu, że stali się Amerykanami, mówiącymi i myślącymi po angielsku, żyjącymi treściami amerykańskiego anglosasizmu.

Albowiem nie tylko język angielski decyduje o anglosaskim podłożu kultury amerykańskiej. Instytucje publiczne Stanów Zjednoczonych wywodzą się z Wielkiej Brytanii. Oczywiście zmieniły się tu ogromnie, często nie do poznania. Ameryka nie wzięła z Anglii czy ze starego świata w ogóle instytucji stanowych, jej historia obcy jest zupełnie, tak ważny dla Europy, feudalizm. Brak tradycji stanowo-feudalnych to niesłychanie ważna cecha społeczeństwa amerykańskiego i jego dziejów. A jednak zasadnicze urządzenia amerykańskie są pochodzenia angielskiego. Pochodzenia angielskiego są amerykańskie pojęcia prawne, amerykańskie definicje stosunków społecznych. Bez owych „charterów”, jakimi na mocy przywilejów królów angielskich obdarzani byli pierwsi kolonizatorzy Virginii i Massachusetts, bez „covenantów”, powstałych w atmosferze protestantyzmu angielskiego, nie można zrozumieć historii ustroju Stanów Zjednoczonych. Rozumiał te rzeczy wielki badacz ustroju amerykańskiego Lord James Bryce, tak bardzo świadomy zasadniczych różnic, dzielących Stany Zjednoczone od jego angielskiej ojczyzny.

Nie można zrozumieć Ameryki, jeżeli nie uwzględnimy cię całego szeregu cech życia Anglii wieków XVII i XVIII, cech, przyniesionych na nową ziemię i tu mocno zakorzenionych. Wystarczy zwrócić uwagę choćby na rolę protestantyzmu anglosaskiego, na kolosalny wpływ purytanizmu i wyznań nonkonformistycznych na rozwój cywilizacji amerykańskiej. Te rzeczy są żywe po dzień dzisiejszy i stale kształtują oblicze narodu Stanów Zjednoczonych.

Nie mamy tu miejsca na szczegółową analizę roli anglosasizmu jako podłoża cywilizacji amerykańskiej. Nie ulega jednak wątpliwości, że największy wkład kulturalny pochodzi od emigrantów, którzy dla Ameryki opuszczali Londyn, Manchester, Newcastle czy Glasgow. Oni to przynieśli ze sobą ten kapitał zakładowy, który został użyty przy budowaniu nowej cywilizacji. Kapitał ten znaczący znacznie więcej, niż uzupełniające go wkłady, przynieszone z innych krajów. A z tych wkładów tylko niektóre — holenderski, skandynawski, francuski, niemiecki, hiszpański — jakoś wyraźniej, choć raczej przejściowo, zaznaczyły swą obecność.

Te liczne strumienie narodowościowe, które wymienia Adamic, dopiero wtedy stały się współtwórcami cywilizacji amerykańskiej, kiedy spłynęły do wspólnego koryta wyrzytego przez przybyszów z wysp brytyjskich. Wszystkie późniejsze emigracje asymilowały się do tej, która przybyła pierwsza — do anglosaskiej. I tylko przez taką asymilację zaczynały czynnie uczestniczyć w dalszym kształtowaniu tej niezwykłej wspólnoty narodowej, którą Adamic nazywa narodem narodów.

America triumphans

Ale filozofia Adamica to nie teoria naukowa. Gdyby nią była, łatwo daloby się przejść nad nią do porządku dziennego. Adamic nie jest zawodowym socjologiem ani historykiem. To, co pisze, jest wyznaniem jego wiary, i — w jego intencji — ma stać się wyznaniem wiary milionów

innych Amerykanów. Adamic tworzy wizję Ameryki, albo — jeśli komuś ten termin bardziej się podoba — mit Ameryki. Jest propagandystą czy apostołem pewnych ideałów. Jest wychowawcą i jest praktycznym działaczem. Filozofia jego ma cele bardzo konkretne i bardzo ściśle związane z życiem narodu amerykańskiego. Filozofia ta jest nie tylko dziełem emigranta. Jest ona i produktem całego rozwoju Ameryki — narodu emigrantów. I na tym tle rozpatrywana, wizja Louisa Adamica pokazuje nam rzeczy nowe i bardzo ciekawe.

Musimy się tu zatrzymać przy pewnych aspektach procesów amerykańskich, przez które bez wyjątku przechodzą wszystkie grupy wychodźcze w Stanach Zjednoczonych. Zasadniczo każdy Amerykanin, włączając w to przybyszów z kontynentu azjatyckiego — Indian Czerwono-skórych, jest albo emigrantem albo potomkiem emigrantów. Jednakże nierównomierność czasowa w napływie różnych fal emigracyjnych oraz odmienność funkcji społecznych i ekonomicznych, spełnianych przez poszczególne fale, spowodowały powstanie złożonego systemu stosunków między różnorodnymi grupami wychodźczymi. Wcześniejsi emigranci (czy ściślej ich potomkowie) patrzą z góry na emigrantów świeższej daty, emigranci z „lepszych” krajów lub reprezentujący „lepsze” wyznania (protestanckie) uważają się za arystokrację w stosunku do ludzi z krajów „gorszych” lub należących do niższych grup wyznaniowych. Trzeba dodać, że pochodzenie i wyznanie emigranta pozostawało tu w jakimś związku z funkcją społeczną i ekonomiczną, jaką szersza grupa, do której ten emigrant należał, spełniała w okresie swego osiedlenia się na ziemi amerykańskiej.

Są to zresztą rzeczy bardzo skomplikowane i wymagające bardzo gruntownego omówienia. Dla naszego użytku wystarczy, jeżeli stwierdzimy, że w Stanach Zjednoczonych wytworzyła się szeroka skala ocen, w której na jednym krańcu są ludzie, wywodzący się (jakże często są to fikcyjne rodowody!) od pierwszych osadników Virginii czy od „pielerzymów” ze statku „Mayflower”, a na drugim parasi Ameryki Murzyni. Między obu tymi krańcami jest aż nadto miejsca na wszelkie odcienie wyższości i niższości, arystokratyzmu i pariasstwa.

Jednakże ten system ocen nie jest czymś sztywnym. Zmienia się on stale w zależności od miejsca i czasu. Jest on bardzo kategorienny w krainie „biało protestancko-anglosaskiej” supremacji — na Południu. Jest on bardzo płynny i liberalny w wielkich przemysłowych miastach Północnego - Wschodu. Lat temu trzydziści był bardziej bezwzględny, niż jest teraz. Gdy w roku 1928 Alfred Smith ubiegał się o godność Prezydenta Stanów Zjednoczonych, znalazł przeciwko sobie stany, tradycyjnie głoszące za Demokratami. Wyborcy nie mogli pogodzić się z myślą, że Prezydentem może zostać katolik! Ale już w roku 1940 fakt, że Wendell Willkie (co prawda dobry protestant!) był dopiero w drugim pokoleniu urodzonym Amerykaninem, nie był wysuwany jako argument przeciwko niemu. Willkie przegrał, ale nie dlatego, że dopiero dziadek jego przywdrował z Niemiec do Ameryki.

Lat temu czterdziści nie o wiele wyżej od murzyńskiego pariasa stała cała ogromna masa wychodźców z agrarnych krajów wschodniej i południowej Europy. Okres 1880—1910 to właśnie czasy napływu do Ameryki najbardziej prymitywnych fal ludzkich z wiosek i miasteczek południowo-włoskich, polskich, czeskich, węgierskich, bałkańskich i t. p. Małorolny czy bezrolny chłop sycylijski, podhalański, morawski, banacki, macedoński, mieszkaniec żydowskich Ghett wschodnio-europejskich, plynął do Ameryki w poszukiwaniu chleba, którego dawne ojczyzny im nie dawały. I jednym z największych cudów amerykańskich była ta fantastyczna ewolucja, jaką w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci te masy europejskie odbyły od swych wiosek i miasteczek do dzisiejszego standartu życiowego największej na świecie cywilizacji industrialnej.

Przemiany te dokonały się w ramach tej cywilizacji i dzięki niej. Swym dawnym ojczyznom emigranci zawdzięczali bardzo mało. Mało też z dorobku tych ojczyzn przynieśli Ameryce. Dali jej jednak swą pracę i szereg poważnych talentów indywidualnych. Jeżeli jednak te talenty zabłysły, to stało się to dzięki temu, co Ame-

ryka im dała — możliwości osiągnięcia awansu, amerykanizacji.

Droga była uciążliwa. Społeczeństwo amerykańskie przyjmowało emigrantów wschodnio- i południowo-europejskich tak, jak przedtem przyjęło emigrantów irlandzkich, niemieckich i t. d. Korzystało z ich pracy, dało im wszelkie prawa demokracji politycznej, ale zachowało pogardliwy dystans. Dawniejsi Amerykanie widzieli w przybyszach zaprzeczenie tych wzorów kulturalnych, jakie w oczach amerykańskich są właściwe istotom cywilizowanym. Ciemna, prymitywna masa emigracyjna to był owi „wops” (Włosi), „Dagoes” (Latynowie wogóle), „Pollacks” (Polacy), „kikes” (Żydzi) czy „bohunks” (Cześć, niekiedy Węgrzy), którzy mieszkali w „slums”, byli brudni, niechlujni, pijani, mówili niezrozumiałymi językami i w ogóle żyli w sposób najzupełniej nieodpowiadający temu, co szanujący się Amerykanin uważał za przyzwoite.

Ale w miarę tego, jak owi „wops”, „Dagoes”, „Pollacks”, „kikes”, i „bohunks” upodabiali się do wzorów, przyjętych przez cywilizację amerykańską, uprzedzenia do nich słabły i nawet zaczynały się zacierać. Następowo to zwłaszcza wtedy, gdy przybysze — jako jednostki i całe gromady ludzkie — zaczęli brać czynny udział w amerykańskiej wspólnotie narodowej. Mayor New Yorku Fiorello H. La Guardia, przywódca robotniczy Samuel Gompers, Sidney Hillman i David Dubiniski, wybitny polityk Robert Wagner i wielu innych — oto drogowskazy pochodu mas emigracyjnych w kierunku pełnego utożsamienia się z Ameryką i utożsamienia się Ameryki z nimi.

Ażby jednak to utożsamienie się przybysza z Ameryką mogło nastąpić, jeden warunek musiał być spełniony: w przybyszu musiało powstać i utrwalić się przekonanie, że ma on „prawo” do Ameryki. Innymi słowy — musiał on przewyciężyć w sobie kompleks niższości wobec Ameryki, jej narodu i cywilizacji. Przybysz musiał na brać przekonania o swej wartości jako pełnowartościowego uczestnika amerykańskiego życia zbiorowego i amerykańskiej zbiorowości narodowej.

Przeszkody, które musiał pokonać, nie były natury prawno-ustrojowej. Instytucje amerykańskie, ustawy, powszechnie uznawane filozofie widziały w nim od pierwszej chwili, gdy wylądował w portach New Yorku lub Bostonu, przyszłego obywatela Stanów Zjednoczonych i dobrego patriotę amerykańskiego. Na spotkanie szła mu cała cywilizacja amerykańska, tak bardzo atrakcyjna, tak szybko pochłaniająca, tak łatwo asymilująca przybyszów. Ale w życiu praktycznym natrafiał nasz emigrant na potężne przeszkody społeczno-obyczajowe, na owe klasyfikacje, snobizmy i uprzedzenia. I natrafiał na przeszkody psychiczne w sobie samym — na swe onieśmienie wobec Ameryki, na przeświadczenie o własnej niższości. Wiele też czynników musiało wystąpić, zanim masa emigracyjna uwolniła się od kompleksu niższości i rozwinęła w sobie poczucie swego „prawo” do Ameryki. Cztery z tych czynników zasługują na szczególne podkreślenie.

1) Obiektywne i dające się wyraźnie zauważyć upodobanie się stylu życia przybyszów do tych wzorów, jakie społeczeństwo amerykańskie uznaje za obowiązujące dla siebie. W pierwszym rzędzie należy do tego zaliczyć opanowanie języka angielskiego.

2) Pojawienie się wśród grup emigracyjnych jednostek, które bez zastrzeżeń zostały przyjęte do społeczności amerykańskiej i zajęły w niej miejsca bardzo wybitne. Ludzie tacy, jak Samuel Gompers, Sidney Hillman, senator Robert Wagner, bracia Skouras i inni, utwierdzili przybyszów w przekonaniu, że osiągnięcie najwyższego awansu leży w granicach ich możliwości.

3) Wytworzenie się w grupach emigracyjnych kultu bohaterów, wspólnych dla Ameryki i dla dawnych ojczyzn. Jako typowe przykłady można tu przytoczyć kult Pułaskiego i Kościuszkę wśród wychodźców polskich i kult barona Steubena wśród wychodźców niemieckich. Emigracja z Francji była zbyt nieliczna, aby kult Lafayette’a (bardzo ważny dla stosunków amerykańsko-francuskich w ogóle) mógł tu odegrać poważniejszą rolę. Bohaterowie tacy stawali się patronami grupy emigracyjnej w procesie jej amerykanizacji, byli ważną legitymacją, stwierdzającą „prawo” przybyszów do utożsamienia się z Ameryką.

4) Rozwój wypadków w dawnych ojczyznach emigrantów. Dla tych ostatnich było

rzeczą ważną wykazać się wobec Ameryki, że pochodzą z narodów silnych, postępowych, podobnych do Stanów Zjednoczonych, zajmujących doniosłe miejsce na świecie. To było ważną przyczyną, dla której istnienie przedwojennego państwa polskiego (w przekonaniu Polonii amerykańskiej odpowiadającego powyższym warunkom) wpłynęło na wzrost dążeń amerykanizacyjnych wśród polskich Amerykanów.

Na osobne miejsce zasługuje podkreślenie roli, jaką w procesach amerykanizacyjnych odegrało potomstwo emigrantów, już urodzone czy przynajmniej wychowane na ziemi amerykańskiej. Każde następne pokolenie, urodzone w Stanach Zjednoczonych, oznaczało dalszy awans na drodze utożsamienia się grup wychodźczych z Ameryką. W drugim i trzecim pokoleniu urodzonych w Stanach Zjednoczonych utożsamienie się to jest zazwyczaj już tak silne, że idzie w parze z definitywnym przewyższeniem kompleksów niższości, właściwych starszym pokoleniom. Wendell Wilkie — kandydat na Prezydenta — był tego wymownym dowodem. Takim samym dowodem jest zanik wstydu z powodu obcego pochodzenia, częsty wśród drugiej i trzeciej generacji. Prowadzi to nawet do pojawienia się zainteresowań dla spraw ojczyzn przodków. Ludzie którzy te zainteresowania wykazują, są tak pewni swego amerykanizmu, że mogą sobie na nie pozwolić.

Otóż wszystkie te rozważania na temat procesów amerykanizacyjnych dają nam mocną podstawę dla zrozumienia filozofii Adamicia i roli, jaką ona odgrywa w życiu współczesnej Ameryki. Wizja Louisa Adamicia jest symptomem daleko posuniętego stadium, jaki w swym procesie utożsamiania się z Ameryką osiągnęły grupy pochodzenia nie-anglosaskiego.

Lat temu dwadzieścia w Ameryce nie było miejsca na taką filozofię i na taką wizję. Nie było po prostu dlatego, że związek świeżych emigracji (z okresu 1880—1910) z Ameryką był wciąż bardzo słaby. Grupy te nie uważały jeszcze Ameryki za coś własnego, osobistego i intymnego. Dziś mogą, używając tu tytułu jednej z książek Adamicia, powiedzieć o tym kraju, że to „My America” — „moja Ameryka”.

Adamic daje im ostateczną legitymację i stwarza dla nich wstępną rolę w życiu amerykańskim. Ten były emigrant z Carnoli jest dziś dobrym patriotą amerykańskim i za takiego jest powszechnie uważany. Jest tak pewny swego amerykanizmu, że nie czuje żadnych psychicznych otamowań przy swych zainteresowaniach dla spraw jugosłowiańskich i w ogóle europejskich. Przeciwnie — jego „jugosłowianizm” czy jego „europejskość” dają mu potwierdzenie jego znaczenia dla Ameryki. I to właśnie doskonale odpowiada uczuciom milionów Amerykanów świeżej stosunkowo daty.

W latach wojny ostatecznie Adamic wystąpił z projektem, aby amerykańskie grupy „obcojęzyczne” wylonily spośród siebie zespoły wychowawców i organizatorów, którzy by po wojnie, wysłani do odpowiednich krajów, stali się ich budowniczymi. Adamic wierzył, że w ten sposób grupy emigracyjne spłaca swój dług wobec starych ojczyzn, a ponadto stworzą mocną więź między tymi ostatnimi i Ameryką. To dla niego było szczególnie istotne; Adamic chciał tą drogą przełamać coś z ideałów amerykańskich na starą ziemię. I mocno wierzył, że amerykański „narod narodów” stanie się wzorem dla wiecznie skłóconego kontynentu europejskiego.

Projekt był naiwny i sam Adamic dość szybko go zarzucił. Zrozumiał, jak bardzo może to być politycznie niebezpieczne, jak łatwo może się to stać narzędziem dla amerykańskiego imperializmu. Mniej jasno rozumiał, że zespoły takie nie znalazłyby w ogóle wspólnego języka ze starymi ojczyznami. I to nietylko w znaczeniu przemożnym: to, co emigracje zachowały z mowy swych przodków, bardzo się różni od żywego języka starych ojczyzn. A poza tym zespoły takie pod każdym względem reprezentowałyby rzeczywistość amerykańską, tak diametralnie różną od europejskiej.

Ale pomysł był znamienity. I on miał na celu podkreślenie doniosłości owych grup „obcojęzycznych” (z tej „obcojęzyczności” jakże mało już się zostało!) dla całokształtu życia amerykańskiego. I on w swych końcowych konsekwencjach zmierzał do wzmocnienia idei „prawa” do Ameryki w masach świeżych Amerykanów. A Ameryce udowodniał, że dobrze jest, gdy w epoce

„jednego świata” ma się tylu obywateli obcego pochodzenia.

Jest rzeczą wysoce znamienią, że filozofia Adamicia nie natrafiła na głosy oporu i oburzenia w świecie tradycyjnej „anglosaskiej” Ameryki. Wręcz przeciwnie, spotkała się tu z dużym uznaniem. Oczywistym wyjątkiem jest Południe, gdzie walka Adamicia w obronie praw czarnych jest czymś absolutnie nie do strawienia. Ale poza Południem Adamic wszędzie jest przyjmowany nad wyraz życzliwie. Jest on ceniony, często cytowany, wydawcą jego jest Harper, prasa książkom jego poświęca długie i entuzjastyczne recenzje.

I w gruncie rzeczy, z wyjątkiem Południa, mało kto w Ameryce mówi dziś o „biało-protestancko-anglosaskiej” cywilizacji. Najbardziej oficjalni historycy amerykańscy skwapliwie podnoszą (nawet z pewną przesadą) rozmiary wkładu grup „obcojęzycznych”, przy tej sposobności z uznaniem powołując się na Adamicia.

Bo też cała jego filozofia jest najwyższym triumfem Ameryki i amerykanizmu. Jest ona dowodem, że amerykanizacja mas emigracyjnych posunęła się tak daleko, iż masy te domagają się jakiegoś uznania za swój wkład amerykański. I dlaczego uznawano

nie to miałyby im być odmówione? Można być pewnym lojalności ludzi, którzy za przykładem Adamicia stwierdzają, że nie tylko są integralną częścią Ameryki, ale, że bez zastrzeżeń biorą na siebie zadanie współdziałania w kształtowaniu losów Ameryki, jej życia, jej cywilizacji. I nikt, kto zna Amerykę, nie przypuści, by w wizji Adamicia kryły się możliwości jakichś tendencji odśrodkowych. Adamic i gromady ludzi, których dążenia on wyraża, w najmniejszym punkcie nie kwestionują amerykanizmu, ani pod względem językowym, ani obyczajowym, ani państwowo-histerycznym. Czego chcą, to swego ostatecznego utożsamienia się z Ameryką i jakiejś filozofii, stwierdzającej, że się już utożsamili. Jeżeli o historii amerykańskiej mówią jako o „naszej” historii, jeżeli Washingtonów, Jeffersonów i Lincolnów nazywają budowniczymi „naszego” narodu, a pokolenia tych wielkich mężów „naszymi” przodkami, to są w tym najzupełniej szczerzy i przekonani. I dziś każdy w Ameryce uważa za rzecz naturalną i oczywistą, że Adamic czy La Guardia mówią o walce, jaką ich przodkowie stoczyli z Anglią o wolność ich narodu.

W dziejach narodu amerykańskiego mu-

siał nadejść moment, w którym jakiś Louis Adamic powinien się być ukazać. Powinien się być ukazać dla stwierdzenia na drodze literackiej faktu socjologicznego, że owa niezwykle zbiorowość ludzka, powstała ze strumieni, płynących ze wszystkich stron świata, jest narodem swoistym, odrębnym, o własnej, swoistej i odrębnej cywilizacji. I choć fundamenty pod tę cywilizację były założone przez Anglosasów, choć i dziś jest ona w swym języku, w szeregu tradycji i urzędów anglosaską, to przecież równocześnie jest ona czymś zupełnie nowym i specyficznym. A zarazem nie ulega wątpliwości, że w dalszej jej rozbudowie czynny i twórczy udział biorą te zespoły ludzkie (czy potomstwa tych zespołów), które jeszcze niewiele lat temu, oszłomione, zastraszone, bezradne i prymitywne, łądowały na Ellis Island w porcie nowojorskim. W ciągu lat, które od wtedy minęły, zostały one przez tę cywilizację ogarnięte i zasymilowane. I to umożliwiło im udział w dalszym jej przekształcaniu się i rozwijaniu. A ze wszystkich cudów, jakie zwykle się przy pisują Ameryce, największym jest ten, który umożliwił pojawienie się cenionego pisarza amerykańskiego — Louisa Adamicia.

Aleksander Hertz

GALEAZZO CIANO

PAMIĘTNIK POLITYCZNY 1939-43 *)

We wstępie do francuskiego przekładu pamiętnika hr. Ciano, tłumacz S. Stelling-Michaud pisze m. in.:

„11 stycznia 1944 roku hrabia Galeazzo Ciano, zięć Mussoliniego, były minister spraw zagranicznych i członek Wielkiej Rady Faszystowskiej, padł od kul plutonu egzekucyjnego na dziedzińcu starego zamku w Weronie. Skazany na śmierć przez trybunał, wybrany spośród neo-faszystów za zdradę Duce na słynnym posiedzeniu Wielkiej Rady 24 lipca 1943 r. i za zagrożenie niepodległości państwa, Ciano opłacił drogą swą awanturniczą politykę, na którą zdecydował się kierowany osobistą ambicją, i z którą nie potrafił zerwać w odpowiedniej chwili z powodu braku charakteru, choć rychło zrozumiał jej zgubny kierunek.

W testamencie politycznym, który napisał w więzieniu na kilka tygodni przed śmiercią, Ciano wyraża pragnienie, aby zapiski te zostały ogłoszone drukiem nie tyle aby wybielić go w oczach potomności, co aby przekazać szczerze świadectwo, jaką rolę odegrał w czasie tragicznych lat. Cenne tomy, które na próżno starali się zdobyć Niemcy, zostały ocalone w dramatycznych okolicznościach. Hrabina Ciano, której udało się wymknąć przed gestapo i schronić się do Szwajcarii na dwa dni

przed egzekucją męża, uniosła w ukryciu pod suknią cztery tomy „Pamiętnika” i wstęp napisany przez Ciano potajemnie w celi, gdy wyrok procesu był już dla niego niewątpliwy. Dzięki pomocy oddanego pośrednika doniesiono byłemu ministrowi spraw zagranicznych, który miał wkrótce usłyszeć wyrok śmierci, że żona jego przybyła zdrowa i bezpieczna z cennymi zapiskami do Szwajcarii.

Znaczenia politycznego pamiętników długoletniego ministra spraw zagranicznych faszystowskich Włoch — hr. Galeazzo Ciano nie sposób przecenić. Jego bliski kontakt z osobistościami i wydarzeniami decydującymi o losach Europy w latach niedawno przez nas przeżytych, a także jego rola czynnego obserwatora, notującego wiernie dostrzeżone fakty, czyni z pamiętników tych źródło, z którego z całą pewnością obficie czerpać będą historycy naszych czasów. Na procesie w Norimberdze cytowano obszernie wyjątki z „Pamiętników”, które dostarczyły materiałów obciążających Ribbentropa, wielkiego nieprzyjaciela ministra włoskiego. Wymowa niektórych wynurzeń faszystowskiego ministra, a także wymowa przytoczonych przez niego opinii Duce, którego wiernym cieniem był przez długie lata, nie wymaga komentarzy.

2 stycznia 1939 r.

Spotkanie Duce—Pignatti**)

Duce żąda, by ambasador powtórzył w Watykanie, że jest niezadowolony z polityki Stolicy Apostolskiej, szczególnie w sprawach dotyczących „Akcji Katolickiej”. Mówił również o opozycji kleru wobec polityki osi. Niech sobie nie wyobrażają w Watykanie, że Kościołowi uda się utrzymać Italię pod kuratelą. Siły duchowne są imponujące, lecz mają mniejsze znaczenie niż państwo, szczególnie w wypadku państwa faszystowskiego. Nie chcemy walki z Kościołem, jesteśmy jednak gotowi wziąć w niej udział i w potrzebie rozbudujemy wszystkie ukryte urazy antyklerykalne. Niech papież przypomni sobie, że Italia jest krajem Gibelinów. Pignatti zachował się inteligentnie. Powiedział, że Watykan popełnił wiele błędów, lecz papież jest dobrej wiary i on to najbardziej ze wszystkich prałatów myśli po włosku.

Zleciłem ambasadorowi działać jak najostrożniej.

Cokolwiek by myślał Starace, pragnę uniknąć z Watykanem konfliktu, który uważałbym za szkodliwy.

5 stycznia.

Doskonałe wiadomości z Hiszpanii. Jedynie możliwe niebezpieczeństwo to masowa interwencja wojsk francuskich przez Pireneje. Chodzą już słuchy na ten temat. Aby uniknąć takiej możliwości dałem znać do Londynu i Berlina, że jeśli Francuzi się

ruszą, skończy się polityka nieinterwencji. My wysłaliśmy również regularne dywizje. Co znaczy, że wydaliśmy wojnę Francji w Hiszpanii. Żądałem od Niemców, by ogłosili notę w „Korespondencji dyplomatycznej” dla podtrzymania naszego punktu widzenia.

8 stycznia.

Z wyjątkiem pewnej zmiany we wstępie, Duce zatwierdził teksty przysłane przez Ribbentropa. Zmiana była pożyteczna. W pewnym zdaniu wymieniono „groźbę gangreny bolszewickiej” jako przyczynę paktu. Gdzie jest w rzeczywistości ta groźba? A gdyby nawet była, jeśli nie dotyczy naszych krajów, dlaczego mielibyśmy się nią zajmować? Przeciwnie. Powinniśmy faworyzować i dodawać zrećnie odwagi wszelkim elementom rozkładu i rozbicia pośród innych narodów.

M. Annos przyniósł dla Duce wieści od Franco, który wyraża mocne przekonanie o bliskim zwycięstwie. Duce bardzo sobie chwalił zawartość i ton pisma, które nazywał „raportem podwładnego”.

Następnie Duce i ja długo rozpatrywaaliśmy wytyczne przyszłej polityki: pakt przyjaźni trzech; ściślejsze porozumienie z Jugosławią, Węgrami i Rumunią i jeśli to możliwe, z Polską, aby się upewnić w zasadniczych sprawach, alians z Hiszpanią w chwili, gdy wojna będzie już wygrana; rewindykacje od Francji; pominąć zagadnienie Nicei i Sabaudii, ponieważ leżą one poza granicą naturalną Alp; Korsyka: autonomia, niepodległość, aneksja, Tunis: statut włoski, autonomia beya, protektorat włoski. Dżibuti: wolny port i linie kolejowe, administracja kolonii i kondominium; kanał Suezki: ważny udział w administracji; ententa z Belgradem, likwidacja Albanii,

która ułatwić może Serbom posunięcie się ku Salonikom.

9 stycznia.

.....Duce odpowiedział gen. Franco serdecznym listem, zachęcając go do marszu naprzód, aż do ostatecznego zakończenia wojny, bez zgody na pośrednictwo czy kompromis. W sprawie restauracji monarchii radził mu wstrzemięliwość. Woli widzieć Hiszpanię zjednoczoną i spacyfikowaną pod wodzą Caudilla, kierownika kraju i partii. Franco będzie mógł z łatwością rządzić skoro uzyska najpierw pełny sukces wojskowy. Prestiż dowódcy zwycięskiego w wojnie nigdy nie ulegał dyskusji.

11 stycznia.

Przyjazd Chamberlaina; wizyta utrzymana jest w tonie minorowym, ponieważ zarówno Duce jak i ja, nie jesteśmy zbyt przeświadczeni o jej użyteczności.

Tłum przyjmuje go życzliwie, szczególnie w dzielnicach centralnych, w strefie mieszczańskiej, gdzie „stary pan z parasolem” cieszy się wielką popularnością. Chłodniej w odcinkach peryferyjnych, robotnicy mniej się entuzjastują. Jednak Chamberlain jest bardzo zadowolony z powitania. Może pamiętać jeszcze gwizdy, jakimi przyjęto go w zaprzyjaźnionej Francji.

O 18-ej spotkanie w pałacu weneckim. Zaprotokulowane. Rozmowa szła z trudem. Tematy poruszone nie były szczególnie ważne i wyczuwało się zarówno u nich jak i u nas restrykcje myślowe. Rozmowa dzisiejsza była raczej poszukiwaniem. Kontakt nie został jeszcze nawiązany. Jakże oddaliliśmy się od tych ludzi! Inny świat. Po obiedzie Duce i ja rozmawialiśmy na uboczu w rogu salonu. „Ci ludzie nie mają już nic z Franciszka Drake i innych wspaniałych awanturników, którzy tworzą Imperium. To są zmęczeni potomkowie długiej linii bogatych pokoleń. A imperium stracą.”

Później mówiąc z gniewem o Francji, z powodu artykułu, który ukazał się w „Europe Nouvelle”, gdzie znajdowały się niemiłe aluzje do jego życia prywatnego, Duce powiedział: „Ci Francuzi będą pierwszymi, którzy padną. Niektóre niewiasty zmagają się przy huku dział i bomb”.

24 stycznia.

.....Dobre, świetne wieści z Hiszpanii. Oddziały wkrótce wkroczą na przedmieścia Barcelony. Może się to zdarzyć z godziną na godzinę. Żądamy, by legionieści znajdowali się na przedzie; zasłużyli na to.

25 stycznia.

Duce niecierpliwi się z powodu braku wiadomości o zajęciu Barcelony. Ciągłe telefonuje w obawie, by nie powtórzyły się wypadki madryckie. Nie obawiam się o to.

Powiadami Mackensena o wynikach mej podróży do Belgradu, przyjmuję potem Perth'a*), który przybywa do nas z żądaniem interwencji u Franca, z prośbą, by po zwycięstwie nie dał się opanować uczuciom zemsty wobec nieprzyjaciela. Zapewniam go o tym i oświadczam, że wywieraliśmy zawsze wpływ łagodzący. Przypominam, że po wzięciu Bilbao Duce napisał do Franco list, który z chwilą, gdy stanie się znany przysporzy cześć autorowi.

*) Ambasador Anglii w Rzymie od 1933—1939 r.

*) Hr. Galeazzo Ciano. Pamiętnik polityczny 1939—43, tom I, przekł. franc. S. Stelling-Michaud, Genewa 1946.

**) Ambasador Włoch przy Stolicy Apostolskiej od 1935—39.

Nasi ochotnicy zwalczają ostatni opór dywizji „Lister”. Ci, którzy mają najcięższe zadania na przedzie widzą już Barcelonę, śpieszą, by do niej wkroczyć.

26 stycznia.

W czasie golfa otrzymałem wiadomość o wzięciu Barcelony. Kazałem ją przekazać Duce do Terminillo, omawiałem ze Starace***) manifestacje, jakie będą miały miejsce w całym Włoszech. Ograniczyliśmy się do ustalenia godziny; nie trzeba było wywierać jakiegokolwiek nacisku, ponieważ naród cieszył się z powodu tego zdarzenia z nieklamną szczerością.

Duce również był wzruszony, choć pragnął zachować spokój. Lecz ma dość powodów do zadowolenia: zwycięstwo w Hiszpanii związane jest z jednym imieniem, jest to imię Mussoliniego, który prowadził kampanię z pewnością, stałością i odwagą, na złość opozycji niejednego z tych ludzi, którzy go dziś oklaskują.

29 stycznia.

Nie szczególnego, tylko dobre wieści od Gambary****) o ostatnich postępach ku Pirenejom. Wzięliśmy 24 baterie i jeden aeroplan. Gambara żąda przysłania żywności, ponieważ ludność dosłownie umiera z głodu. Dzieli ona stół legionistów z okrzykami: „Niech żyje Franco, niech żyje Italia!”

30 stycznia.

Wysłałem żywność do Barcelony. Mimo silnego zaziębienia, Duce zajęty jest całkowicie przygotowaniem milicji na paradę 1 lutego. Zajmuje się osobliwie najdrobniejszymi szczegółami. Niejednokrotnie spędza po pół godziny przy oknie w swoim gabinecie, ukryty za niebieskimi firankami, obserwuje z upodobaniem zwroty grup. To on chciał, by bębny i trabki odzywały się równocześnie. On też zadbał o paleczkę dla dyrygenta, pokazuje mu ruchy i poprawia nawet wygląd paleczki.

Mussolini jest przekonany, że w armii forma określa ducha. Mówi, że w ostatniej wojnie trzeba było 1.400 milionów ludzi, by pobić 60 milionów Niemców; sztywne zwycięstwo wojskowe pruskie sprawiły, że żołnierze byli niezwykłej. Oskarża często króla o zmniejszanie prestiżu fizycznego naszej armii, ponieważ król pragnie go scharmonizować ze swą „nieszczęsną postacją”.

9 lutego.

...Napięcie w stosunkach z Kościołem zmniejszyło się znacznie ostatnimi dniami. Robiłem co w mojej mocy, by przyczynić się do tego, wieczorem dochodzą do nas wieści o nagłym pogorszeniu stanu zdrowia papieża. Śmierć jego będzie teraz rzeczywiście niepomyślnym zdarzeniem. Zbliżalibyśmy się do konklawe w atmosferze uprzedzenia i głębokiej wrogości. Mogłyby nas spotkać niezbyt mile niespodzianki...

10 lutego.

Papież umarł. Wiadomość ta nie robi na Duce żadnego wrażenia. W czasie sprawozdania wspomina o tym zdarzeniu tylko tyle, że odroczy posiedzenie Rady, aby oddać hołd pamięci papieża. A także dlatego, że ogół jest zbyt rozgniewany, by zajmować się reformą szkolną, która jest na porządku dnia. Udaje się do Stolicy Apostolskiej, by skłonić się oficjalnie przed zwłokami arcykapłana. Przyjmuje mnie najstarszy kardynał Pacelli, dziś kamerling Świętego Kościoła Rzymskiego. Składam kondolencje w imieniu Rządu i narodu faszystowskiego mówiąc, że imię zmarłego papieża wiązało się na zawsze z ugodą Laterańską. Słowa te wywołują zadowolenie. Prowadzą mnie do kaplicy Sykstyńskiej, gdzie zwłoki papieża spoczywają na wyniosłym katafalku. Pacelli mówi o stosunkach między państwem i Kościołem tonem pojednawczym i pełnym optymizmu. Widać tylko olbrzymie białe sandały papieża i brzeg jego sukni. Ale ogólne wrażenie jest silne...

11 lutego 1939

...Duce jest wciąż nastawiony wrogo do Kościoła. Telefonuje do niego, że według sprawozdania Pignattiego Stolica Apostolska oczekuje od Duce hołdu wobec zmarłego Piusa XI; odpowiada mi, że jest już za późno, „że konklawe nie go nie obchodzi. Jeśli nowy papież będzie Włochem, tym lepiej. Jeśli będzie nim obcy, jeszcze lepiej.”

12 lutego 1939 r.

Duce zgadza się wziąć udział w pogrzebie Ojca św. który wyznaczony jest przez nuncjaturę na 17 lutego. Cieszy mnie to, ponieważ decyzja ta wywrze dobre wrażenie pośród konklawe. W pewnych kołach amerykańskich rozchodzi się pogłoska, że kamerling jest w posiadaniu dokumentu napisanego ręką papieża. Duce żąda, by Pignatti wyjaśnił sprawę, i jeśli to praw-

da, by postarał się o kopię tego pisma, aby uniknąć powtórnego ukazania się pamiętnika Filipelliego¹⁾.

19 lutego 1939.

...Coraz bardziej niechętny wobec Francji, Duce powiada, że w ostatnich miesiącach Francuzi ukazali nam ogrom swej nienawiści i perfidii; nazywa ich „niecym narodem”. Włosi nienawidzą już Francji, ale Mussolini obiecuje sobie wzmoczyć tę nienawiść w ciągu kilku miesięcy do stopnia nieosiąganego dotąd.

21 lutego 1939 r.

Wspólne démarche (Włoch i Niemiec) nie jest już konieczne, ponieważ Franco zakomunikował naszym ambasadorom, że postanowił przyłączyć się do paktu antykominternowskiego, zachowując rzecz w tajemnicy aż do chwili zwycięstwa. Zgodnie z Niemcami przyjmujemy to rozwiązanie, ponieważ daje nam to w istocie jakko dziś, a kurę jutro.

zał wszystkich rozstrzelać dodając: „Umarli nie opowiadają Historii”.

24 lutego.

W drodze do Warszawy. Postój w Wiedniu, gdzie jemy śniadanie pod „Trzema Huzarami”. Miasto ma raczej charakter śpiący i zmęczony. Rochira²⁾ mówi, że zbyt kłopotliwe życie środkowych dzielnic jest o wiele mniej błyszczące, że wielka masa ludowa pracuje, jej sytuacja materialna jest lepsza, i że okazuje ona coraz większą przychylność dla rządu.

25 lutego.

Przyjazd do Warszawy. Ludność przyjmuje mnie z ciekawością i być może sympatią, jednak bez zapachu. Miasto jest szare, płaskie, bardzo smutne, choć blade i niezwykle słone oświetla nie ogrzewając ulice tej pozbawionej charakteru stolicy. Sprawili mi przykrość wieści o drobnych manifestacjach antyniemieckich, jakie miały miejsce tu i tam we wszystkich mia-

matycznych, unikając bezużytecznego nacisku na opinię publiczną. Żyje jeszcze niepokój w sprawie litewskiej. Polska nie może uznać granic z Czechosłowacją za ostateczne, ma jeszcze nadzieję uzyskać wspólną granicę z Węgrami. Kwestia ukraińska zajmuje skrycie wiele miejsc w polskim sercu, choć Beck przychylnie, ale bez przekonania wspomina zapewnienia dane w tej sprawie przez Hitlera.

27 lutego.

Omawiając obecną sytuację Czechosłowacji, Beck określa ją jako „prowizorium, które może trwać długo nie przestając być prowizorium.” Oddałem się kreśleniu horyzontów, uwydatniając siłę więzów łączących nas z Niemcami. Miałem rozmowę z ambasadorami Niemiec i Japonii, z nuncjuszem i ministrami Węgier i Jugosławii. Wizytowałem organizacje wojskowe, szczególnie lotnictwo, które wywarło na mnie dobre wrażenie. Nie mogę mówić o rządach wewnętrznych, ponieważ nie widziałem nic szczególnego. Daleko tam jednak do rządów totalitarnych, ponieważ jedyny głos, który się liczy w Polsce, to głos zmarłego Piłsudskiego, a tych którzy uważają się za jego następców, jest zbyt wielu. Zresztą fakt, że pozostał on nadal pośmiertnym dyktatorem dowodzi, że żadna nowa siła nie wzrosła jeszcze w znaczenie, nie ujawniła się dotąd. W innym wypadku marszałek Piłsudski, podobnie jak wszyscy zmarli, nie odgrywałby już żadnej roli.

W sumie, takie wnioski wydają mi się słuszne w interesujących nas sprawach: Nie można twierdzić zbyt pochopnie, że Polska jest krajem związanym z systemem Osi, czy Trójkąta; jednak byłby to zbyt pesymizm uważać ją za istotnie wroga. Gdy wybuchnie wielki kryzys, Polska stać będzie jeszcze długo z bronią u nogi, i dopiero wtedy, gdy losy zostaną rzucone, Polska stanie przy boku zwycięzcy i postąpi słusznie, ponieważ kraj ten ma przyjaciół i wrogów w obu obozach.

28 lutego.

Polowanie w Białowieży. Wspaniały las dziki i naturalny, bogaty w niezwykle rzadką zwierzynę.

1 marca.

Kraków. Zabytki i pałace, które Polakom wydają się liczne i piękne, a dla nas są właściwie niczym.

2 marca.

Podróż powrotna. W Tarvisio otrzymuję wieści o wyniesieniu kardynała Pacelli na tron papieski. Nie dziwi mnie to, przypominam sobie spotkanie z nim 2 lutego. Był bardzo pojednawczy. Zdaje się, że w międzyczasie przyczynił się do znacznego polepszenia stosunków z Niemcami, a Pignatti doniósł mi wczoraj, że Pacelli był ulubionym kardynałem Niemiec. Przy stole powiedziałem do Eddy i moich współpracowników, że dziś będzie wybrany papież i że będzie nim Pacelli, który przyjmie imię Piusa XII. Słuszność moich przewidywań zainteresowała wszystkich.

3 marca.

Przyjeżdżam do Rzymu. Nie szczególnie ważne w polityce wewnętrznej i w ministerstwie. Widziałem moich współpracowników i Alfieri'ego³⁾, którzy opowiadają mi zdarzenia z ostatnich dni. Duce jest w Terminillo. Telefonuje, że chciałby mnie widzieć, udaje się do niego. Interesuje go moje sprawozdanie, nieszczerzenie optymistyczne, z Polski. Muszę przyznać, że Mussolini ocenił z Rzymu położenie tego kraju z większą jasnością, niż ci, którzy spędzili tam długie lata. Nazywa Polskę „pustym orzechem”.

Zadowolony jest z wyboru Pacelli'ego. Ma nadzieję, że nakłoni go do przeprowadzenia kilku projektów dla pożytecznego zarządu Kościołem. Nie ma jednak zamiaru posługiwać się Taccchi Venturim⁴⁾, którego uważa już za „wyszczonego z obiegu”.

¹⁾ Minister Kultury od 1936 — 39 r.

²⁾ V. minister spr. zagr. w Rzymie.

Redakcja „Kuznica” podaje do wiadomości, że z dniem 15 sierpnia zakończyła publikowanie nazwisk pracowników kultury, zgłaszających swą solidarność z ogłoszonym przez „Kuznicę” protestem w sprawie wypadków kieleckich. Kwitując odbiór szeregu listów i deklaracji po tym terminie Redakcja oświadcza, że ze względu na techniczne nie jest w stanie ich opublikować. Jednocześnie „Kuznica” przeprasza raz jeszcze wszystkich, którzy deklarację swoją potraktowali jako okazję do szerszej wypowiedzi, indywidualnej, za niemożność wydrukowania w całości nadesłanych nam uwag.

REDAKCJA



22 lutego.

Duce jest bardzo zadowolony ze zgody Franco na przynależność do paktu antykominternowskiego. Jest to zdarzenie o zasadniczej ważności i będzie miało wielki wpływ na wszystkie sprawy europejskie. Po trzech latach bezwładności, Hiszpania staje się znów czynnikiem żywym, dynamicznym, i co ważniejsze, czynnikiem antyfrancuskim. Głupcy, którzy tylokrrotnie krytykowali naszą interwencję w Hiszpanii zrozumieli pewnego dnia, że to nad Ebro, pod Barceloną i Malagą powstały rzeczywiste podstawy śródziemnego imperium Rzymu.

Villani⁵⁾ wspomina o podróży Telekiego⁶⁾ do Włoch w marcu; zgadzam się chętnie. Mam wiele sympatii dla Telekiego i uważam, że jest to najlepszy premier, jakiego miały Węgry.

Christich⁷⁾ chwali wobec mnie Stojadynowicza⁸⁾. Mówi, że w czasie obecnego kryzysu zarządco regenta odegrała poważną rolę; lecz ma nadzieję, że Stojadynowicz powróci do władzy w ciągu paru miesięcy.

Przyjazd Gambary. Składa niezwykle pomysłne sprawozdanie z sytuacji Hiszpanii. Madryt padnie niebawem automatycznie; jeśli nie — w końcu marca pięć kolumn zada ostatni cios, który oznacza koniec Czerwonej Hiszpanii. Sytuacja w Katalonii jest dobra. Franco polepsza ją, dokonując starannie czystki z niezwykle surowością. Wielu Włochów — anarzystów i komunistów — zostało również aresztowanych. Powiedziałem o tym Duce, który ka-

¹⁾ Dziennikarz i człowiek interesu wplątany w morderstwo Matcotta, który dokonał od kryć obciążających partię faszystowską.

²⁾ Posel węgierski w Rzymie 1934 — 41.

³⁾ Premier węgierski od lutego 1939 do marca 41 r.

⁴⁾ Posel Jugosławii w Rzymie od 1937 — 41.

⁵⁾ Premier i min. spr. zagr. Jugosławii od 1935 — do lutego 1939 r.

stach polskich. Zostały one sprowokowane kilkoma wypadkami, jakie zaszły w Gdańsku. Polska mimo wszelkich wysiłków politycznych Becka jest zasadniczo i do głębi antyniemiecka. Jej tradycja, instynkt i interesy przeciwstawiają się Niemcom. Kraj katolicki z wielkimi skupieniami żydowskimi, skrepowany silną mniejszością niemiecką, już z naturalnego biegu rzeczy wrogi jest imperializmowi teutońskiemu. Wobec Włochów za to wiele pozytywnych lecz nie wchodzących w rachubę elementów bliżej nieokreślonej sympatii. Polacy wolą naszą sztukę od naszego życia. Znają lepiej nasze zabytki niż historię. W głębi nie uważają nas za takich, za jakich chcielibyśmy uchodzić. Zbyt wielu malarzy, rzeźbiarzy i architektów kształtowało niegdys opinii polską o Włoszech, a zachowanie ich cechowała nieunikniona służalczość artysty, który znajduje daleko obcego mecenasa. Kochają w nas bardziej pedzel, niż siłę zbrojną, w którą jeszcze nie wierzą całkowicie. Trzeba ciężko pracować, by poprawić złą sławę, jakiej przyczyniły nam trzy wieki.

26 lutego.

Rozmawiam po trochu ze wszystkimi, ale szczególnie z Beckiem. Nie ma w naszej rozmowie sensacyjnych szczegółów. Polska będzie nadal prowadziła politykę równowagi, jaką narzuca jej położenie geograficzne. Z Rosją tylko konieczne kontakty. Z Francją alians obronny, jednak nie wierzy się już jakoby alians ten nie był konieczny. Z Niemcami poprawne sąsiedztwo, które utrzymuje się obecnie z trudnością, z powodu licznych przyczyn natury psychicznej i materialnej.

Co do Gdańska, trzeba będzie znaleźć rozwiązanie, ale Beck chciałby dojść do niego na drodze wolnych rokowań dypl-

⁶⁾ Konsul włoski w Wiedniu od 1938 r.

** Sekretarz Generalny partii faszystowskiej od 1932 — 39 r., — szef milicji faszystowskiej od 1939 — 41 r.

*** General dowódca włoskiego korpusu ekspedycyjnego; ambasador Włoch w Hiszpanii w 1939—40 r.

KAZIMIERZ BRANDYS

FAKTY I WIDMA

Ubiegłe miesiące wzbogaciły naszą wiedzę o Polskę. Przybyło nam gorczy, wzburzenia. I mimo, że wzrasta nasza nadzieja dobrego losu kraju, niemniej boli nas ulomność i okazy. Musimy być jednak czujni, ostrowidzący, baczeni na prawdę wydarzeń. Sprawiedliwość, to nie tylko dobra wola sumienia — ale i właściwe wyciąganie wniosków z prawdziwego układu zjawisk. Pragniemy więc nie popełniać błędów, bronić własnej oceny przed pasją, złudzeniem czy niechęcią. Jedyna droga do celu zwanego niepodległością wewnętrzną, czy gdzie indziej — łaska.

Milion samobójczych głosów w wynikach referendum i pogrom kielecki weszły w skład faktów narodowych. Potępienia i protesty ich nie wymażą. Można się od nich odgradzić — to rzecz naszej godności — ale pogruchothane kości żydowskie przechowa kielecka ziemia, ale zachodni granice polityczne zanotują w karnetach ów milion polskich głosów, kwestionujących tytuł prawny Rzeczypospolitej do granicy nad Odrą i Niszą. Potęga czasu jest większa niż pamięć ludzkiego sumienia. Siła bieżącej praktyki nakazuje sprawy najbardziej burzliwe powoli zamieniać w tryb przeszły. Nieraz może to być groźne. Trzeba czasem walczyć z siłą przemijania dla pożytku przyszłości.

Układ przyczyn, z którego te fakty wyrosły — trwa. Można na przyszłość zapobiec podobnym, ale będzie to sprawa mechaniki; nasza rzecz docierać do źródeł, towarzyszyć zjawiskom w ich rozwoju, śledzić ich przebieg genetycznie. Dlaczego zabito 40-tu niewinnych ludzi? Dlaczego padło milion absurdalnych głosów? W jaki sposób stało się to możliwe?

Nie pozwalajmy przytłaczać się widmami. Po Polsce wędrują widma i dają im się opętać nie tylko okultyści. Jedno z nich to widmo antysemityzmu nieuleczalnego, pełne rezygnacji przekonanie o beznadziejności walki z barbarzyństwem na tym odcinku. Wydaje mi się to obrzydłe, niegodnie słabe, szkodliwe. Ta autosugestia cierpie dopływy ze źródeł nam wrogich: mówię to, powtarzamy, co mówią o nas tam, gdzie słowo „Polska“ źle znaczy. W Polsce panuje żydობóstwo, pogromy — prawda; z Polski Żydzi uciekają na Zachód — prawda. Ale o tym, że w Polsce walkę z antysemityzmem podjął Rząd i partie zgrupowane wokół Rządu, że walka ta stała się jednym z naczelnych zadań społecznych — o tym mówi się niechętnie. Ohyda sytuacji polega właśnie na tym: że środowiska zachodnie wykorzystują antysemityzm w Polsce przeciwko Rządowi Polskiemu, który reprezentuje nie tylko ideologię wypróbowaną w walce z rasizmem, ale też skupia wokół siebie jedyną siłę społeczną zdolną realnie do tej walki. Jak przedstawiają się widoki owej walki?

Czułbym wstręt do siebie, gdybym o nich wątpił. Od przyszłości tej sprawy zależy godność człowieka w Polsce i wielkość naszego narodu. Trudno byłoby żyć bez wiary w te wartości. Zasadą postępowej myśli jest przekonanie o możliwości przemiany złego w dobre, nie ma rzeczywistości tak nieuległej, aby nie mogła stać się lepszą pod działaniem myślącej woli ludzkiej. Dlatego rezygnacja, zarażanie się beznadziejnością, zwracanie wzroku za siebie po to, aby stwierdzić, że nic się nie zmienia — jest cechą małości wewnętrznej. Wiara w postęp obalała większe przeszkody na swej drodze, niż ciemnotę tłum — obalała zło oświecone, trzeźwe. Antysemityzm polski jest wolą ciemną, nieświadomą, — nie potknie się o nią ani los ludzkości, ani los narodu.

Jak sprawa wygląda w istocie? Pytanie to należy sobie zadać bo odpowiedź na nie, odpowiedź sprawiedliwie wiedząca nie padła. Dlaczego wzrosła w Polsce nienawiść do stu tysięcy ocalałych z trzech i pół miliona? Kardynał orzekł, że to skutek nadmiernego udziału Żydów w życiu publicznym, spłoszony inteligent odpowie, że to objaw historycznej niezmienności polskiego temperamentu, przekupka, — że odwet za krew polskich dzieci. Pierwsza odpowiedź jest obłudna, druga tchórzliwa, trzecia głupia. Tą drogą nie zaidziemy daleko.

Zaryzykuję twierdzenie dość śmiało, za

które, być może, narażę się na zarzut lekomyślności: Wiele przemawia za tym, że antysemityzm w Polsce ma przed sobą żywot krótki. Jeśli ktoś poczyta mi to za chęć umniejszania zbrodni, lub usypiania sumień po zbrodniach — omyli się. Uważam je za bezprzykładne, godne w swej potworności klątwy świeckiej; świeckiej, gdy duchowna przestała istnieć z dniem, w którym Adolf Hitler, największy zbrodniarz ludzkości, zamknął powieki niepotępiony przez papieża; instytucja ekskomunikacji przestała więc istnieć, odpadła, nie będzie mogła być użyta nigdy więcej, bo jakież zbrodnie na nie zasługują, jeśli jej nie ściągają na siebie morderca dziesiątków milionów istnień ludzkich?

Ale problem, którego akty żydობójstwa są objawem, zmienił swą konsystencję tak dalece, że dziś, mimo, iż Żydzi polscy giną we wsiach i miastach, trzeba się zastanowić, czy „kwestia żydowska“ w ogóle w Polsce istnieje. W aspekcie międzywojennym nie istnieje napewno.

Jest to okrutne, brutalne w swej otwartości — ale prawdziwe: zagadnienie odpadło z masą ludzką, która stanowiła jego materię. Treść gospodarza problemu została amputowana: nie ma żydowskiego handlu, żydowskiego przemysłu, hasło „wasze ulice, nasze kamienie“ nie może służyć za narzędzie krucjat, wówczas pałkarskich, dzisiaj śmiertelnych. Sprawa obecności religijnej, kulturalnej, językowej? W Polsce zostało sto tysięcy Żydów, może dwieście, może wreszcie trzysta; ale było ich prawie cztery miliony! Czyż trzeba liczb, aby zaświadczyć, ile zostało żydowskich świątyń, szkół, stowarzyszeń?

Cóż pozostało z problemu? — Psychologia? — Psychologia. Psychologia monstrualnie rozdetą, spotworniała. Matematyka w tych sprawach zawodzi i nie liczy, że skoro w r. 1939 było w Polsce tyle a tyle, a w r. 1946 jest ich dwadzieścia razy mniej, to nienawiść do Żydów powinna się była przez ten czas dwadzieścia razy zmniejszyć. W ciągu tych lat bowiem masa żydowska zmniejszyła się na oczach ludzkich, a oczy ludzkie zachowują na długo obrazy krwi i mordy, i nie zawsze przekazują jej sumieniu, lecz często dłoni, gotowej odtąd wznieść się do ciosu, do łatwego ciosu, który zabija bezbronych.

W Ameryce wykryto potęgę instynktu naśladownictwa: stwierdzono, że obywatel, który sto razy napotka wrokiem wezwanie „Pał tylko popierosy Abdulla, najlepsze na świecie“, i stosowny obrazek pod wezwaniem — wejdzie przy pierwszej potrzebie do sklepu i zażąda papierosów Abdulla. W Polsce przez pięć lat słuchano wezwań do zabijania Żydów, „najgorszego narodu na świecie“, i oglądano przez pięć lat żywe ilustracje tego sloganu.

Czy wynikałoby z tego, że pięć lat działania w kierunku odwrotnym, działania perswazji, oświecenia i zakazów prawnych, sprawę rozwiążą bez reszty? Nie należy liczyć w tych wypadkach na działanie praw tak prostych. Antysemityzm w Polsce trwa nie tylko siłą trwania psychologii, której grunt przestał istnieć; nie tylko siłą, niewygasłą jeszcze, propagandy faszystowskiej i nie tylko łękiem przed powrotem Żydów do zagarniętych warsztatów. Psychologia obecnego problemu nienawiści rasowej nie jest już autonomiczna: stała się składnikiem szerszego kręgu objawów. Stroną urazu narodowego, obsesji, jaka cierpi dziś w Polsce wszystko, co określało się terminem „klasy pośredniej“: warstwa ta, której chór wzmógł się dziś o wszystkie głosy wyłączone i o tenor antyludowej części inteligencji — jest warstwą chorą.

Choroba jest nerwowa. To nie tylko „rozparcelowani“, nie tylko „unarodowieni“ krzyczą dziś najgłośniej. W tym wypadku odruch byłby zrozumiały. Uraz dotknął prozaki i tych, zwłaszcza tych, którzy prosperują, i to nie najgorzej. Odruch, powtarzam, jest nerwowy, nie konieczny gospodarczy. Nie chcę jednak być pomówiony o jednostronność, przynajmniej, że byłoby niesłuszne do obozu „nieprzejednanych“ zaliczać tylko szabrowników, lumpenburżuazję itp. Nie należą do niego niejednokrotnie ludzie czysti. I nie tylko zdeterminowani klasowo. Może tam się

znaleźć nieświadomiony robotnik, pracownik naukowy, woźny czy lekarz lub inżynier. Ale jest niewątpliwe, że te odpryski klas pracujących czy inteligencji przylgnęły tylko do masy przyciągającej, do trzonu, który tworzy mieszczaństwo różnych formatów i eks-własność ziemską.

Tyle o chorych. A jakaż choroba? Nie ma dla niej lepszej nazwy, niż dawno wypróbowana: choroba rewolucji. Klasy te zawsze i wszędzie na reformy społeczne reagowały jednakowo: oporem. Powiedzą mi: wielu przeciwników ustroju nie potępia reform, ale metody ich realizacji. Odpowiem: prawda, ale dlatego właśnie, że metody te są rewolucyjne. Rewolucja (a ta w Polsce jest faktem i nie jest koniecznym jej atrybutem rozlew krwi) — to nie tylko kierunek przemian, lecz również siła ich realizacji. Czy chorują na treść, czy chorują na metody — jest to choroba rewolucji. A jeśli twierdzenie powyższe spotka się z zarzutem, że wielu opozycjonistów uznających zasadę obecnego ustroju „mogłoby scierpieć ostatecznie technikę jej przeprowadzenia, gdyby nie „obecny“ klimat duchowy, który narzuca się tradycjom kulturalnym narodu“, to upewnię się w moich racjach. Rewolucji towarzyszy bowiem ów nowy klimat, obecny nie tradycjom kulturalnym społeczeństwa, ale formacjom duchowym klasy panującej; tradycjom odziedziczonym po klasach, które panowały dawniej, najdawniej. Demokracja ludowa w Polsce nie zrywa ciągu kultury, ale zahacza go o wartości, które dziś mogą pobudzić twórczość kulturalną w przeciwieństwie do innych, wygasłych. Kto nie chce ich uznać, kto się przed nimi broni — choruje od rewolucji.

Znamy już chorych; znamy chorobę. Przejdźmy więc do symptomów. Nie trzeba ich szukać daleko. Jest ich wiele. Ale zatrzymajmy się przy dwóch już ujawnionych; wracamy do nich, do punktu wyjścia, zatoczywszy koło — oto koło się zamyka: pogrom kielecki i milion głosów antynarodowych w referendum.

Mam bowiem głęboką pewność, że antysemityzm polski nie jest dziś niczym innym, jak tylko narzędziem obrony klas chorych przeciw rewolucji. Nie jest to problem żydowski, nazwa ta straciła wszystkie swe racje i swój odrębny zakres: zjawisko przestało istnieć samodzielnie. Antysemityzm w Polsce nie ma już autonomicznego podłoża, jest paroksyzmem, jednym z wielu, skurczem warstw rozdrażnionych rewolucją. Rewolucja, a więc: treścią przemian, metodą ich realizacji, nowym kierunkiem natchleń światopoglądowych, z nich wynikłych, elementem ludzkim, przez nie wywołanym, nowowzrosłym układem związków zewnętrznych im towarzyszących. Przeciw polskiej demokracji ludowej broni się w tej chwili grupa społeczna, która uwierzyła we wszystkie złe wróżby, jakimi ją karmiono. Grupa ta uważa się za zgubioną lub co najmniej za zagrożoną. Czym? Niewiadomo. Powtarzam — choroba nerwów: strach bez przyczyny w rzeczywistości; choroba ta zniekształca obraz świata.

Pogrom kielecki — oto jeden z fragmentów obrony. Dlaczego jednak Żydzi? Sprawa niezawila: bogate tradycje niechęci sprzed wojny, pamięć bezkarności z czasów okupacji, obniżenie wartości żydowskiego życia przez zbrodnie niemieckie, świadome podżeganie od strony zimnych rachub politycznych, stary nawyk wiązania w jedno komunizm (wszystko, co jest wstecznictwem, nazywa się w tej chorobie komunizmem), niezadowolenie z poprawy żydowskiego losu „kosztem“ własnego. Wszystkie przyczyny psychologiczne, a raczej psychopatologiczne, psychologia wyrosła z urojeń — żadnej przyczyny rzeczowej.

Żadnej przyczyny rzeczowej, tym możemy się pocieszać w owym pospym obrazie krzywdy i krwi i zdziczenia. Antysemityzm polski zasadza się dziś tylko na obsesji, wojna krwawo odciąga go od baz; jest równie nagim absurdem, jak milion „nie“ na trzecie pytanie referendum. Obydwa są dzikim spazmem obrony szaleńca, obydwie mogą być przemijającym objawem szaleństwa. Ale jak leczyć szaleństwo?

Wstrzymajmy się na razie z odpowiedzią. Nie wszystkie objawy choroby są nam dokładnie znane. Prócz tych dwóch najgroźniejszych, są jeszcze inne, pokrewne, drobniejsze.

Profesor uniwersytetu nie zabija Żydów. Ale ten sam profesor (cytuję fakty autentyczne), w tydzień po pogromie kieleckim wyraża w towarzyskim gronie inteligencji daleko posuniętą wątpliwość, czy mord rytualny jest tylko legendą. Popiera tę wątpliwość naukowo.

Inżynier nie jest człowiekiem band leśnych. Lecz tenże inżynier przyklaskuje w rozmowie przy obiedzie aktom NSZ-tu i oburza się na wyrok kielecki. (Rozmowa zasłyszana przypadkiem w restauracji przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie). Inżynier twierdzi, iż rząd doprowadził kraj do nędzy i że on osobiście ukrywa celowo przed otoczeniem swe dochody, aby nie czynić wrażenia wyjątku, aby nie stanowić argumentu „Za“. (Menu obiadu: raki, chłodnik, łosoś z ruszta, koniak, melba).

Publicysta opozycji nie uprawia sabotażu. Ale ów publicysta rozsiewa wokół „konfiskowane przez cenzurę“ rewelacje, że w Czechosłowacji górna granica personelu w przemyśle niepodlegającym unarodowieniu wynosi 500 robotników, a w Polsce 50. Przemysł polski ulega zatem sowietyzacji. Na pytanie (rozmowę prowadził osobiście), czy wie, że mimo tej różnicy przemysł czeski został unarodowiony w 70%, polski zaś tylko w 40%, publicysta przemilczał odpowiedź. Wiem, że swą fikcję „sowietyzacji“ rozpowszechnia nadal.

Akademik walczył w czasie okupacji z hitleryzmem; narażał życie za wolność. Dziś w dobie moralnej i materialnej klęski faszystów, zbiera grupę kolegów, aby wysłać do Hiszpanii list ze słowami holdu na ręce gen. Franco (zdarzenie prawdziwe — Kraków). Patronem tego kółka jest przedstawiciel świata dojrzałego, ex-ziemianin z kresów wschodnich, ex-major, dawno zresztą w stanie spoczynku, figura dysząca nienawiścią do wszystkiego co ludowe; światopogląd typu Arakcejewy, przemieszany przez wszystkie mesjanizmy i somsierry.

Przykładów wiele. Znalazłoby się więcej, zbyt są, doprawdy, liczne. Wymieniłem celowo właśnie te — często spotykane, znane każdemu niemal „z rodziny“ — aby wykazać, że Kielce i „milion“ to tylko szczyt konstrukcji, złożonej z ogniw pochodnych, lecz jakże jednorodnych. Jeszcze krok dalej, a spotkacie człowieka czystego, o usposobieniu kordialnym, tolerancyjnym w stosunku nawet do spraw drażliwych, o pewnej tylko sumie zastrzeżeń: „jestem chrześcijaninem, potępiam mordy, ale doprawdy Żydzi pchają się zbyt masowo; rzecz jasna — postęp, ale robotnik sam, panie narzeka na państwowy kapitalizm...“ Jest to tzw. reakcjonista uczciwy. Najłagodniejszy stopień choroby.

Więc wracamy do rzeczy. Jak leczyć chorobę? Odpowiedź jest dla mnie jedyna i prosta. Należy do owych nieszczęśliwych optymistów, zarażonych wiarą w postęp. Chorobę należy leczyć według recept postępu. Nowe urządzenia społeczne narzuca nową praktykę. Praktyka kształtuje świadomość. Olbrzymie tryby pracy wciągną w swe obroty człowieka, człowiek spotka się oko w oko z obowiązkiem, od którego spełnienia zależeć będzie jego los i los innych. Wierzę w przyszły stosunek do własności — do własności społecznej, nie kapitalistycznej. Pierwsza łączy ludzi równie silnie, jak druga ich dzieli. Wierzę więc w perswazję rzeczywistości. Ta perswazja uleczy chorobę. Wykaże jej urojenia, dewiacje.

Tryby pracy twórczej posiadają tę cechę szczególną, że tak jak chwytają nieodparcie wszystko, co może być im użyteczne, równie nieubłagane wyrzucają nazwanątrż wszelką mierzwę, wszelki nieużytek.

Wierzę wreszcie i w to, że istota postępu nie polega tylko na zmianie opinii jednostek, lecz ponad wszystko na wytwarzaniu się nowych treści. Urodziła się Polska o treści ludowej. Z tego punktu będą biegły odtąd nasze dzieje. Żadna siła nie pociągnie ich wstecz.

Kazimierz Brandys

POEZJA ROSYJSKA*)

EUGENIUSZ BORATYŃSKI

Gwiazdy

O gwiazdzie mojej miłej śpiewam,
Bo znam ją, znam.
Jak dolewałem, tak dokąwam
Po brzeg, po sam.

Z zawłści ludzkiej kpie, poeta,
I z doli zlej.
Nie tutaj, lecz wśród gwiazd Moëta
Świat duszy mej.

A gdy od słodkich ust dotyku
* Zaszum w krwi,
Nie chce niebiańskich gwiazd bez błę,
Ni gwiazd Ai.

Przełożył Julian Tuwim

* * *

Jak wiele w tak niewiele dni
I pokochałaś i przeżyłaś,
I w buntowniczym ogniu krwi
Jakże się strasznie przepaliłaś!
Przez ledną opętana myśl,
Czego ty jeszcze chciałaś?
Dla duszy, gdy w tęsknocie załka?
Jak Magdalena płaczesz dziś
I śmiechem dzwonisz jak rusalka.

Przełożył Julian Tuwim

Do ***

Nie bój się sądów jadowitych,
Lecz pochlebstw zdradnych czarem swym:
Nieraz geniusza wśród zaszczytów
Usypiał mdły kadzidel dym.

Kiedy fałszywe chwalebny ceniał,
Byłbyś u mody gotów już,
Dla swej Kamenny uwić wieniec
Z tańszych kwiatów, sztucznych róż.

Wyhacz, ja głośno to piętnuję,
Proroku, mistrzu, wybacz mi,
Na wieniec z lauru ukazuje
Z goryczą, w której wyrzut tkwi.

Bo kiedy leździec zreczny snadnie
Na grzbiecie Pegaza krzepco ślad,
Nie ma nieszcześcia, gdy go smagnie
Krytyki bezlitosny bat.

Przełożył Seweryn Pollak

* * *

Ty nie naśladał: geniusz nie chce cienia,
Wielki wielkością własną musi żyć;
Chceszli jak drugi Dorat, Szekspir być,
Przykry twój trud: nie znoszą powtórzeń.
Izraelowi z plewą wspólne prawa:
Niech nigdy cześć bożyszczu nie oddawa.
Gdy, Mickiewicz, poeta natknięty,
Widzę cię dzisiaj u Byrona nog,
Powładam: wielkiemu umiżony!
O wstań, o wstań, pamiętaj: tyś sam bóg!

Przełożył Mieczysław Jastrun

NIKOŁAJ NIEKRASOW

Elegia

Choćby sto razy modne głowy powtarzały,
Ze ból i kleski ludu to temat przestarzały,
Ze nie poażli rzeczą są te smutne dzieje,
Wy im nie wiercie, młodzi! To się nie starzeje,
Gdybyż się temat ten zestarzać chciał najprędzej,
Świat boży zakwitłby! Nieszczęść, Póki w nędzy
Pokorne chtoście bieżów włoką się narody,
Jak po spalonych łakach wychudzone trzody,
Niech Muza służy im i o ich szczęście walczy,
To sojusz najpiękniejszy w świecie i najtrwalszy,
Gdy triumfalną pioską splewają syte szuje,
Wskazywać im na lud, co cierpi i głoduje,
Po stronie uciśnionych stać w nierównym sporze —
Jakaż godniejszą służbę ludnia pełnić może?

Złożyłem narodowi lutnię swą w zapale,
A kto wie, czy nie umrę nieznanym wcale.
Lecz mu służyłem! Umrzeć będę mógł w spokoju.
Choć nie każdy wrogowi rane zada w boju,
Każdy niech ruszy w bój, nie myśląc o wyniku...
Widziałem cud: w ojczyźnie nie ma niewolników!...
I radosnymi tzy uczciłem dzień przedziwny.
„Daj pokój, dosyć już radości tej naiwnej! —
Szepnęła Muza: „Teraz — walcz o cud prawdziwy,
Naród jest wolny. Tak. Ale czy jest szczęśliwy?“

Czy z pola dojdzie mnie żniwiarzy śpiew roboczy,
Czy pochylony chłop za plugiem wolno kroczy,
Czy to przez łakę świeża, wasół i beztroski,
Śniadanie ojcu nosąc, biegnie chłopak z wioski,
Czy kosy zgodnie dzwonią lub błyskają sierpy,
O jednym ciągle myślę: „Czy już chłop mniej cierpi?“
Wciąż dręczące pytania zadaje tym polom:
„Czy znośniejsza się stała, nędzna chłopska dolo?
Czy wolność, co niewolę długą zastąpiła,
Zmieniła losy ludu? Czy choć śpiew zmieniła?
Czy jakaś nowa nuta brzmi w dziewczęcej pieśni,
Czy nadal tak bezładnie dzwięczy i boleśnie?“

Zmrok zapada. Wieczorna w dali gaśnie zorza.
Po łakach i po niwach, pośród stogów zboża,
Błąkam się zadumany, myśl za myślą płynie,
I pieśń sama się składa w tej cichej godzinie.
Pieśń, tajnych móch marzeń najżywsze wcielienie:
Trudom wsi błogosławie całym swym istnieniem,
Na wrogów ludu ścigam przekleństwo z niebiosów,
A na przyjaciół — siłę i łaskawość losów!
I głośna jest pieśń moja! Doliny jej wtrząsą
I echo gór dalekich grzmi jej w odzew burzą
I lasy się ozwały... Natura mnie słyszy...
Ale ten, o kim śpiewam wśród wieczornej ciszy,
Komu poeta pieśń swą i marzenia składa,
Ten, niestety! nie słyszy — i nie odpowiada.

(1874)

Przełożył Julian Tuwim

Bunt

(Żywy obraz)

„Jak wichur pędzę więc z Riazani,
Zastaję we wsi tłumit, ruch...
No, usłyszeli swoje, dranie!
I wszyscy na kolana buch!

Struchlała bestia zbuntowana!
Wzdłuż rzędów szedłem, strosząc brwł,
I tych upadłych na kolana
Kolanem w zęby aż do krwi!..

Przełożył Julian Tuwim

NIKRASOW NIKOŁAJ ALEKSIEJEWICZ
(1821—1877)

Pochodził ze szlacheckiej, dziesięć lat spędził w wsi Gresznie (gub. Jarosławska), gdzie był świadkiem okrutnego obchodzenia się ojcami z chłopami pańszczyźnianymi. Na uniwersytecie uczył się w Petersburgu. Już w r. 1847 jest właścicielem czasopisma „Sowremiennik“ („Współczesny“). W różnych okresach swego życia utrzymywał kontakt z Bielńskim, Czernyszewskim i Dobroliubowem. Po zamknięciu przez policję carską „Sowremiennika“ Niekrasow redaguje „Oteczestwennye zapiski“, bojowy organ rewolucyjnych ludowców. Pogrzeb Niekrasowa stał się wielką polityczną demonstracją, zwłaszcza postępowej młodzieży.

W przeciwieństwie do romantyków Niekrasow zerwał z idealizacją ziemiaństwa, ujrzał i ukazał w jaskrawym świetle wady szlachty rosyjskiej i odrzucił całą tradycijną symbolikę, związaną z feudalizmem. Nawet przyroda odarta została przez Niekrasowa z uroków poetyczności. Nienawidził do posiadaczy, do systemu pańszczyźnianego dominującego w utworach tego poety. Tonem swoich wierszy raził ucho mieszczańsko-szlacheckich krytyków, natomiast ówczesni rewolucyjni demokraci widzieli w nim swego przywódcę i mistrza. Podobnie jak nasza Konopnicka, opiewa dół chłopów i pierwszy wprowadza robotnika do poezji.

W świadomości Niekrasowa toczy się ustawiczna walka między poczuciem obywatelskim a poezją. Niekrasow sam przedstawia swą Muzę w postaci chłopki, zbitej knutami, lecz pełnej gniewu i buntu.

Liryka Niekrasowa miesza się z gorzką i karcącą satyrą oraz parodią. Niekrasow rozszerza tematykę poezji przez wprowadzenie do niej zagadnień społecznych; jest to poezja utylitarna, konkretna, oparta na materiale żywym, związana silnie z rzeczywistością historyczną.

*) Z majacej wkrótce się ukazać nakładem Spółdz. Wyd. „Czytelnik“ antologii p.t. „Dwieście lat poezji rosyjskiej“ w opracowaniu Mieczysława Jastruna i Seweryna Pollaka.

BORATYŃSKI (BORATYŃSKI) JEWGENIJ ABRAMOWICZ (1800—1844)

Wybitny poeta plejady puszkowskiej. Wychował się ze starego polskiego rodu, który przemieścił się do Rosji w XVII w. Boratyński urodził się w „wieku elegji“, należał do pokolenia poetów, którzy w dziełach swych dawali wyraz nastrojom deklasującego się ziemiaństwa pierwszych dziesięcioleci XIX wieku. Niektóre motywy liryki Boratyńskiego wyprzedzają romantyzm typu puszkowskiego, zbliżają poezję jego do symbolizmu, za którego poprzednika uchodzić może.

Utwory Do*** i „Ty nie naśladał...“ zwrócone są do Adama Mickiewicza. Pierwszy utwór zawiera aluzje do negatywnej oceny „So netów Krymskich“ przez „krytyków i recenzentów warszawskich“. W drugim wierszu Boratyński wymawia Mickiewiczowi uleganie wpływowi Byrona w „Konradzie Wallenrodzie“.



Informacji udzieli placówka Polskiego
Biura Podróży „Orbis“
ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 68

ANATOL WINOGRADOW

TRZY BARWY CZASU*)

Rankiem 7 grudnia, Henryk Beyle, którego listy przed dwoma dniami niedość uważnie przeglądał Arakcejew — wchodził razem ze swoim kuzynem Kajetanem Gagnonem do kawiarni Olivieriego w Wilnie. Beyle zdjął futrzaną kurtkę i rzuciwszy ją na okienny parapet obok drewnianego stolika, zamówił kawę i obfite śniadanie.

Henryk Beyle, uczestnik włoskich pochodów Bonapartego, niegdyś dość pełny i baczysty, teraz był szczupły i zgrabny. Rysy twarzy zaostrzyły się; widać na nich było ślady wielkich fizycznych cierpień. Tylko oczy, zimne, mądre, trochę niezwykłej ciemnoniebieskiej barwy, patrzyły na świat ostro i przenikliwie. Wąskie bokobrody pierścieniami schodziły ku podbródkowi.

— Słuchaj Henryku, nie mam siły jeść dalej. Jestem zupełnie rozbity i zostaję w Wilnie, — powiedział Gagnon.

— Jak chcesz, — odparł Beyle. — Tylko nie radzę zostać tu dłużej, jak trzy dni, a nawet za trzy dni nie ręczę.

— Tak, lecz Wilno jest zaopatrzone w zapasy dla stutysięcznej armii na okres trzech miesięcy; powiedział mi o tym dzisiaj Jomini.

— Zapominasz jednak, że nie ma tych stu tysięcy nie tylko w Wilnie, lecz w całej armii. Resztki wojsk są tak niewielkie, że przez trzy lata nie zjedzą wileńskich

zapasów; nie potrafią nawet obronić swoich składów.

— Jednak Maret przywiózł królowi Neapolu rozkaz, aby pozostał przez tydzień w mieście, zebrali wszystkie wojska i oczekiwał posiłków, które cesarz przysłał z Warszawy.



Stendhal (Henryk Beyle)

— Nie wierzę ani w posiłki z Warszawy, ani w nowy trzystatysięczny zaciąg. We Francji wszystko stanęło; na północy przerwano wyrób tkanin; nie będzie w co ubrać żołnierzy.

— Myślę, że jest to zjawisko ogólne. Wczoraj przeglądałem miejscowe gazety. Zarówno „Kronika Mińska“ jak i „Kurier Li-

tewski“ pełne są wiadomości o rozruchach robotniczych w Anglii. Tkacze w wielu okręgach zbuntowali się i zniszczyli maszyny; w Londynie miały miejsce krwawe wypadki; trzydziści tysięcy żołnierzy i policja uśmierzały buntowników. W obronie ich wystąpił jakiś poeta — lord Byron.

Beyle nic nie odpowiedział. Patrzył przez okno i cieszył się cichym zaułkiem żydowskiej ulicy, gdzie nie ma krzyków i wrzasków, ani chaotycznej i dzikiej fali ludzi ogarniętych zwierzęcym strachem. Lewą ręką dotykał podbródka, jakby chcąc sprawdzić czy dobrze udało mu się dziś ogolić; śmiejąc się przypomniał sobie zdziwienie ministra Daru, gdy nawet w trudnym dniu przeprawy przez Berezynę „jego kuzyn Beyle przybył dokładnie ogołony“. Słuchając Kajetana myślał o tych, którzy nie zdążyli przeprowić się przez Berezynę. Gdzie są teraz? Cesarz śpieszył się; rzucił wszystkich na pastwę losu i tylko niewielki oddział neapolitańskich strzelców z naczelnym marszałkiem dworu generałem Duocem i adiutantem Moutonem eskortował otwarte sanie. Do san wsiadli mameluk Rustan i tłumacz, oficer Wąsowicz. Był dwudziestoośmio stopniowy, trzaskający mróz. Lód wytrzymał. Neapolitańscy kawalerzyści kłusem zajęli górę na przeciwnym brzegu.

„Piszę do Pauliny, że znówu gotów jestem zacząć służyć „Jego Cesarskiej Mości“, — myślał Beyle, — a „Jego Cesarskie

*) Fragment powieści o Stendhalu, która ukazuje się nakładem Spółdz. Wyd. „Książka“.

Mość" rzucił armię i tak śpieszy się z wyjazdem, że kiedy Hoderdorp w ślad za Caulaincourt'em przyjechał na Pohulanę już nie zastał „Jego Cesarzkiej Mości”. Tak ucieka „general Bonaparte” rozkazawszy oddziałom armii, aby trzymały się w Wilnie. Dobrze jednak, że ten list tak jest napisany! Jeśli ktoś go przejmie, nie wzbudzi żadnych podejrzeń. To krótka, zupełnie taktowna kartka z armii do krewnych we Francji, bez najmniejszej aluzji do rozczarowania jakiego doznałem przekonawszy się, że cesarz jest dezertorem”.

Kajetan spał. Beyle czując bezwład w nogach, siedział nieruchomo.

„Jednak w Wilnie mamy zapewniony na kilka dni spokój. Czy należy posuwać się dalej i korzystając z zakończenia urlopu wyprzedzić armię, czy też powinniśmy zatrzymać się tutaj i nabrać sił do dalszej drogi?”

Przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z hrabią Duronel, wileńskim komendantem.

„Zabawni są ci arystokraci, gdy nagle opanuje ich pobożność. Zamiast tego, by zabrać się do dzieła, hrabia zamawia mszę w kościele św. Jana. Jak można myśleć o takim głupstwie, jak msza, w tak poważnych i niebezpiecznych chwilach? Wielkie charaktery i światłe umysły uległy degeneracji od czasów *Encyklopedii*. Czy nadejdzie taki czas, kiedy jasne i proste rozumienie praw materii określać będzie wzajemne stosunki pomiędzy ludzkiemi społeczeństwami?”

Przypomniał mu się wieczory spędzone w Paryżu w domu przy ulicy *du Bac*, na czytaniu ulubionych książek. Świetne strony francuskich materialistów, ludzi niezależnej myśli i wnikliwych badań dały mu niezachwiany spokój w życiu, wniosły światło czystej analizy i jasnej dialektyki tam, gdzie ludzie zazwyczaj budują fantastyczne domysły, albo stwarzają sobie fałszywe konstrukcje dla zawiadnięcia cudzą myślą i wolą. Potem znowu wrócił do myśli o Bonapartem. W głowie migotało mu: „Rosja... społeczeństwa ludzkie... pierwsze jasne wyobrażenia o rzeczach tego jedynego świata, do którego całkowicie należę i który zarazem należy do mnie, aż do chwili, kiedy rozpadnie się ta najcenniejsza substancja, z której składa się mój mózg umieszczony w tej oto czaszce”.

Pierwszych lekcji materializmu udzielał Beylowi w czasie obu rewolucji wspaniały człowiek, geometra nazwiskiem Gros, mieszkający w Grenobli. Był to jasny i ścisły umysł. Gros w sekrecie przed rodziną brał ze sobą małego Beyle'a na zebrania do Klubu Jakobinów. Gdzie znajduje się teraz ten zawzięty zwolennik republikańskiej Francji? Jakim cudownym odpoczynkiem po religijnych bezdurach księży, uczących Beyle'a z woli ojca, były jego lekcje! Republika ogłosiła, że duchowni, którzy nie złożyli jej przysięgi, znajdują się poza prawem. Ojciec ukrywał jednak księży w swoim domu, na strychu i w piwnicach, w spichrzach i stajniach. Wypelzali stamtąd jak karaluchy ze szczeliny, śmierdzący i brudni, w zatłuszczonych sutannach, i zjawili się w małym pokoiku przy ulicy *des Vieux Jesuites* pozerali ogromne ilości jedzenia. Oni też uczyli małego Beyle'a łaciny i zasad religii katolickiej. Jedno i drugie było dlań w jednakowym stopniu wstrętne. Opat Raillane zbili uczenia, gdy odmówił on napisania bezsensownego poematu o musze, która w czasie lekcji wpadła opatowi do szklanki z mlekiem. Chłopiec miał opisać to zdarzenie wierszem, po łacinie, a ponieważ z uporem odmawiał, Raillane zaczął mu tłumaczyć, że niewypelnienie woli duchownego skazuje nieposłusznego chłopca na wieczne męki w piekle. Beyle „nie miał nic przeciwko temu”, lecz o musze pisać nie chciał. Po chłóście, którą przerwał dopiero wejście dziadka, starego Gagnon, bywającego niedługo w Woltera, opat musiał ustąpić uczniowi. Był to pamiętny dzień. Stary Gagnon w pantoflach i pończochach, czarnej, jedwabnej kamizelce i białosińczej peruce z trzema rządami pukli, był wyjątkiem w rodzinie. Kpiący i łagodny odprysk minionego wieku, miał we krwi żar włoskich przodków; swoją mądrą ironię zawdzięczał filozofowi z Fernay. W domu jego przy placu Grenette, wszystko było zupełnie inne i niepodobne do domu Beyle'ów. Nie było wstrętnych, śliskich schodów, ani drzwi obitych żelazem, jak w domu ojcowiskim. Była tam za to cudowna szklana galeria, od

góry do dołu porośła winem, pełna światła, wielka, przestronna, zakończona wejściem do tajemniczego pokoju-biblioteki, gdzie tyle rzeczy zabronionych udało się chłopcu przeczytać. Dziadek wydał około tysiąca franków na zakup *Wielkiej Encyklopedii Nauk, Sztuk i Rzeczy*. Jak bardzo musiało mu na tym zależeć, aby — przy niewielkim stosunkowo dostatku — wydać tak wielką ilość pieniędzy na zakup *Encyklopedii Diderota i d'Alemberta*.

Tego dnia, gdy opat Raillane zbili chłopca, Gagnon naklonił księdza, by zrezygnował z tematu *Mucha w mleku* i wziął się raczej do Horacego. I zamiast zmuszać do czytania rozwścieczonego Henryka, który nie wiedział co zrobić z pociętymi dyscypliną rękoma — starzec sam wyjął książkę z kieszeni i zaczął czytać i komentować tekst, zwracając się do opata i wnuka naprzemiennie.

Dobrze pamięta ten dzień. Ojciec, Cherubin Beyle, wszedł właśnie w chwilę, gdy starzec mówił słowa: *O Rus! Quando te aspiciam?* Horacy lubił wieść. Sam, podobnie jak Epikur, pielęgnował swój ogród, i wiejski dom przedkładał nad głośny Rzym. Stał okrzyk *O wsi! Czy szybko znowu cię ujrzę?* Cherubin przerwał tęciwoi słowami:

— Skłonny jestem również tak zawołać, lecz w innym znaczeniu i z innego powodu. Rewolucja zaszła zbyt daleko. Jedyny ratunek od nieporządków i terroru — to *Rus*, ściślej mówiąc — wojska rosyjskie. I oto drogi opacie, niechaj ksiądz wspomni moje słowa: na pierwsze okrzyki Francji: *O Rus! Czy szybko znowu cię ujrzę?* — cesarz rosyjski przysła swoich żołnierzy, aby przywrócić francuski tron legalnym królom.

— Wątpię, drogi bratanku — odpowiedział Gagnon, zawsze nazywający zięcia bratankiem, — żeby gramatyka łacińska wybaczyła panu tę grę słów, chociaż Rosja, jak slyszalem, jest właśnie ogromnym stepem z... wioskami — Gagnon za-

akcentował to słowo, — jednak nie należy słowa *Russie* wyprowadzać z łacińskiego *rus*. Co zaś się tyczy sądu pana o republice, to zapamiętaj, że dążenie ludów do słusznego i doskonałego sposobu rządzenia właściwe im jest w znacznie większej mierze, niż dążenie arystokracji do zachowania równowagi innych stanów. Natura stworzyła człowieka wolnym. Dziecko rodząc się nie wybiera sobie ani tytułów, ani przynależności stanowej i będąc prawidłowo wychowane, ma takie same właściwości umysłu, jak każdy inny — jak to świetnie w *Rozprawie o rozumie* powiedział Helwecjusz. Czy postępujesz pan rozsądnie, drogi bratanku, cofając czas wstecz, przyspieszając jego bieg, lub obrażając się na historię, jeśli wiesz, że jest to bezcelowe? Ja także nie mało cierpieć przy dźwięku wystrzałów na placu Grenette, lecz powiem panu otwarcie — nie wierzę, aby terror był fantazją jakichś tam szaleńców. Ludzie pragną takich warunków, w których mogliby swobodnie wykazywać swoje zdolności, a nie chcą wcale modlić się o przywileje dla szlachty. Co się tyczy rosyjskiego cara, to jestem pewny, że pomoc otrzymana z tego kraju Scytów, może tylko pogorszyć sytuację naszej ojczyzny.

— Czcigodny panie Gagnon, mówisz pan okropne rzeczy! Przypomnij sobie, jak ci lajdacy stracili króla!

— Jakże go nie stracić, jeśli to zdrajca! — wykrzyknął chłopiec.

I, mimo interwencji dziadka, Beyle stał po raz wtóry ukarany, już nie przez księdza, lecz przez ojca. Dziadek chciał schować chłopca pod poję kamizelki, lecz Henryk nie zgodził się na szukanie schronienia i opieki: przecież miał cierpieć za swoje poglądy polityczne, on — dziesięcioletni republikanin!

I oto teraz siedzi Beyle w Wilnie. Republika dawna przestała istnieć. Francja znowu znajduje się w ślepych zaułku. Żołnierze rosyjskiego cara ścigają resztki francuskiej armii, które niepowstrzymanie dą-

żą na zachód. Stracono wszystko. Zdaje się, że nie ma już nic do stracenia, prócz życia. Każdego dnia można było tysiąc razy umrzeć, gdyby nie twarda decyzja pozostania za wszelką cenę wśród żywych. Podczas tej strasznej drogi na Wilno trafiły się pustkowia, gdzie nie było ani jednej sadyby, w której można by się zatrzymać. Próba przenocowania w jakiejś karczmie przydrożnej kosztowała nieomal życie. Kiedyś nocą trafili na chatę, która stała ukryta w mroku. Na stukanie nikt nie odpowiedział. Brama wisiała tylko na górnych zawiasach, lecz drzwi były zamknięte od wewnątrz, — widocznie ktoś tam był i nie otwierał. Bijąc pięściami i napierając ramionami, Beyle z trudem otworzył drzwi. Ogromna postać zagroziła mu drogę i rzuciła się na niego. Wystrzał z pistoletu rozświetlił izbę. Trup, który przywarł do drzwi zwał się na podłogę. Dzieciatki znajdujących się przy stołach i ścianach nagich i objęzonych przez wilki trupów otoczyło Beyle'a. Wszyscy zamarli i zlodowacili; w powietrzu unosił się charakterystyczny i straszny zapach śmierci. Konie na podwórzu rzuciły się w bok. Beyle skoczył na ganek; jeszcze na czas zdążył chwycić za uźdę oszalałego konia. Wszystkie inne zerwały postrońki i chrapały, całe w pianie, jak w gorący dzień. Gdyby te konie pognały w śnieżne przestrzenie, śmierć byłaby nieunikniona. Sannie opierały się o bramę szopy. Słychać było okropną bieganinę. Przez okno pod samym dachem, jeden za drugim, wyskoczyło świecące oczami pięć ogromnych, sytych wilków. W każdym razie tyle naliczył Beyle, wystrzeliliwszy dwakroć z pistoletu.

I oto, w końcu, Wilno, Spokój i perspektywa dalszej bezpiecznej drogi. Jednak Kajetan już nie drzemie, lecz śpi głębokim, mocnym snem. Próba rozbudzenia go kończy się niczym. Jest trzecia i pół po południu. Czas wrócić do siebie na ulicę Zamkową i iść do komendanta.

Anatol Winogradow

STANISŁAW EHRLICH

Refleksje Harolda Laskiego*)

Harold J. Laski, autor „*A Grammar of Politics*” i szeregu innych — głośnych w świecie dzieł — wydał w czasie wojny (1943 i 1944) tom esejów na tematy polityczne. Jest to podsumowanie jego rozważań zawartych w poprzednich pracach o demokracji w epoce przełomu.

Laski w pełni zdaje sobie sprawę z wyjątkowości i niepowtarzalności naszej epoki. Uważa on, że uświadomienie sobie głębi przewrotu i zasięgu przemian jest niezbędnym warunkiem zrozumienia dokonujących się procesów społecznych i politycznych.

„Nie można pojąć charakteru naszej epoki, jeżeli do niej nie stosować miary czasów Reformacji”.

Już same tytuły rozdziałów są znamienne dla tonu, w jakim utrzymane są „Rozważania” Laskiego. (O duchu naszych czasów, Rewolucja rosyjska, Sens faszyzmu, Zaszczute demokracje, Przesłanki międzynarodowej demokracji, Aspekt międzynarodowy, Groźba kontrrewolucji, Wolność w planowej demokracji).

Referowanie poszczególnych rozdziałów miałyby się z celem. Nie jest to dzieło naukowe o zwartej konstrukcji. Ta sama myśl podejmowana jest wielokrotnie w różnych sformułowaniach, czasem sprzecznych.

DIAGNOZA

Niemówność ugruntowania bezpieczeństwa zarówno w stosunkach wewnętrznych, jak i międzynarodowych spowodowała ów charakterystyczny w okresie międzywojennym upadek praworządności. O odbudowaniu jej nie mogło być mowy przede wszystkim dlatego, że brak było odpowiednich przesłanek psychologicznych. „Formy prawne są przestrzegane jeżeli ludzie czują, że mają wspólny cel w życiu... Żyjemy w okresie, w którym kwestionowane są podstawy naszego życia społecznego. W takich okresach zdolność utrzymania praworządności jest zawsze minimalna... Czasy, jak nasze zawsze okrut-

nie mało troszczyły się o wartości proceduralne, jeżeli spór toczył się o cel, któremu te wartości miały służyć”.

W atmosferze niepewności i wzajemnych podejrzeń rodzi się strach, który paraliżuje zmysł realistyczny polityków. Strach zrodzony zarówno z naruszenia równowagi społecznej, strach jako element naruszający stabilizację stosunków międzynarodowych odgrywa w wywodach Laskiego trochę rolę... klucza angielskiego, przy pomocy którego otwiera on bez trudu mroczne podwoje polityki na przestrzeni wieków. Nie można się oprzeć wrażeniu, że Laski podporządkował obrazowi literackiemu ścisłość naukowca. W przecenianiu roli strachu nie jest, zresztą, Laski w angielskiej publicystyce politycznej odosobniony. Strach, jako przemożny czynnik polityczny wysuwa również Beveridge (*Price of Peace*).

Niemniej, Laski jasno widzi grzechy angielskiej polityki po pierwszej wojnie światowej, jej słabość i chwiejność, której mottem można by określić: po nas potop! Laski wprawdzie ostrożnie, ale niewądnacnie formułuje zarzut konkretny pod adresem polityki brytyjskiej, że jej pociągnięcia tłumaczają się chęcią skierowania agresji faszystowskiej przeciw Związkowi Radzieckiemu. Ale w tym kontekście wydaje mi się, że zarzut słabości i chwiejności, które zostały wysunięte na czoło mają drugorzędne znaczenie.

Diagnoza, którą autor wysuwa, jako obowiązująca dla naszych czasów brzmi: „Albo klasa średnia będzie współpracowała z robotnikami, tak jak sto lat temu arystokracja miała dosyć rozumu, by pójść na współpracę z mieszczaństwem, albo gwałtowna rewolucja stanie się nieuniknioną...”

REWOLUCJA ROSYJSKA

Laski wielokrotnie uwypukla rolę i znaczenie rosyjskiej rewolucji, która dla XX wieku ma to znaczenie, jakie dla XIX w. miała Rewolucja Francuska. Toteż trzeba umieć na nią spojrzeć z odpowiedniej perspek-

tywy. Możemy tylko o tyle zrozumieć rewolucję rosyjską, o ile uznamy ją, jako pierwszy stopień gruntownej przebudowy zasad społecznych zachodniej kultury. Jeśli tego nie przyjmujemy, nie zrozumiemy zupełnie charakteru rosyjskiej rewolucji (str. 42). O rewolucjonistach rosyjskich mówi Laski jako o duchowych potomkach jakobinów, członkach amerykańskich komitetów rewolucyjnych i agitatorów armii Cromwella. Społeczeństwo radzieckie jest w jego oczach również nowe, jak to, które rodziło się w XVI w. lub po 1789 r.

Laski nie szczędił komplementów ustrojowi radzieckiemu za gospodarkę planową, równouprawnienie kobiet, rozwój nauki czy likwidację analfabetyzmu, rozwiązanie kwestii narodowościowej czy system penitencjarny, — by gładko przejść do ostrej krytyki. Niestety, rozważaniom tego rozdziału brak dostatecznego pogłębienia. Zagadnienia dyktatury proletariatu, jednego z najtrudniejszych w socjologii i prawie nie da się załatwić słowem „dictatorship”, jeżeli nie chce się zejść do poziomu inwektyw w stylu „czerwony faszyzm”. Nie można rozważać kwestii związanych z dyktaturą proletariatu, zstępującemu na bok rolę, jaką w ustroju radzieckim odgrywają rady delegatów pracujących. Nic dziwnego, że zarówno w odniesieniu do faszyzmu, jak i bolszewizmu Laski używa terminu „dyktatura partii”.

Nie przeszkadza mu to jednak w innym rozdziale (*The Internal Conditions of Democracy*) przeciwstawić faszyzmowi bolszewizm, jako opartego na poszanowaniu godności ludzkiej, tej elementarnej zasady, warunkującej rozwój zachodniej cywilizacji.

Laski uważa za podstawowy błąd Rewolucji Rosyjskiej utworzenie III Międzynarodówki. Tak ważna w oczach historyków ruchów społecznych dramatyczna walka między mienszewikami a bolszewikami została załatwiona jednym zdaniem, bez próby wniesienia w meritum sporu, od którego wyniku zależała nie tylko organizacja samodzielnej partii marksistowskiej ale i losy wielkiej rewolucji, a Lenin został ponadto jednym tchem obar-

*) Harold J. Laski: *Reflections on the Revolution of our time*, London, Allen & Unwin, 1944, s. 367.

czony osobistą odpowiedzialnością za powstanie faszyzmu.

Takie „gdyby“ mogą prowadzić daleko, ale są to bardzo obosieczne. Gdyby ówczesne partie socjalistyczne nie potęrały „swoich“ imperialistycznych rządów, gdyby zdecydowanie stanęły po stronie ciężko zmagającej się rewolucji rosyjskiej nie byłoby trzeciej międzynarodówki...

Laski tak pisze... jak gdyby ówczesne partie socjalistyczne były partiami doby frontu ludowego... i zapewne dlatego uważa za zbędne rozprawianie się z zarzutami Lenina, skierowanymi przeciw wodzom II-ej międzynarodówki.

W każdym razie rozwiązanie III-ej międzynarodówki, zresztą już po napisaniu książki przez Laskiego, pnie podważa tę swoistą filozofię „als ob.“.

Mówiąc o przywódcach partii i kierownikach państwa radzieckiego — Laski stara się czytelnikowi narzucić swoją wizję tego ustroju, jako rzekomo dla Anglika niesłychanie obcego, odległego i niezrozumiałego. Laski sądzi, że mamy w Związku Radzieckim do czynienia ze swoistym kultem, który ma cechy religijne. Z jednej strony bałwochwalcze uwielbienie mas, z drugiej przekonanie (Laski mówi: „religijne“) przywódców o swoim posłannictwie. Autor przywołuje cienie Cromwella, Mahometa, Lutra i Kalwina, by uczynić obraz bardziej przekonującym. Na polskim gruncie tego rodzaju próba tłumaczenia procesów socjologicznych, zachodzących w społeczeństwie radzieckim, nie jest nowa. Konstancy Srokowski nęczyjący publicysta „I. K. C.“ w „Elicie bolszewickiej“ doszedł do podobnych konkluzji. W książce nie brak ataków personalnych na przywódców komunistycznych, przy czym nie bez zdziwienia dowiadujemy się, że Stalin, „nie zna wogóle europejskiego socjalizmu“.

„Dialektyka była w istocie — pisze w innym miejscu Laski — idealną filozofią grupy ekstremistów, przekonanych, że posiadli wieczną prawdę i pewnych, że wszyscy ich przeciwnicy i krytycy nigdy nie mieli racji“ (str. 80). Prawdopodobnie ruch neocenyklopedystów, powołany do życia we Francji już po napisaniu tej książki, wyjaśnił Laskiemu zagadkę dialektyki*). Nie można się oprzeć wrażeniu, że autor polemizuje z przeciwnikami, którzy mają ideologię stworzoną przez niego samego.

Jakże słusznie pisze sam Laski: najpilniejszym zadaniem rewolucji rosyjskiej jest potrzeba jej zrozumienia, a niczego nie spotyka się rzadziej. Ta „potrzeba zrozumienia“ zapewne sprawiła, że Laski stanął na czele „misji dobrej woli“, która po dwóch latach przygotowań znalazła wreszcie drogę do Moskwy.

SENS FASZYZMU

Laski zgadza się zasadniczo z oceną marksistowską, że faszyzm zastąpił kapitalistyczną demokrację bezwystadną dyktaturą wielkich monopolii. I w tym tkwi istota „faszystowskiej kontrrewolucji“. Jeśli pominąć zagadnienie żydowskie w ustroju faszystowskim, bogaci zostają bogatymi, a biedni biednymi. Nigdy bowiem nie leżało w zamiarach faszyzmu zmienianie podstaw rozdziału dochodu społecznego.

Faszyzm, jako wytwór rozkładającego się kapitalizmu musiał się początkowo oprzeć na owej armii zdeklasowanych, którą reprezentowali: bezrobotny żołnierz Roehm, zdeprawowany inteligent Rosenberg, zagrożony przez domy towarowe drobniomieszkańcy, lumpenproletariusz z Aleksanderplatzu w Berlinie i rozczarowana, bezrobotna młodzież.

Nieudolności lewicy, która ani nie umiała utworzyć władzy (Włochy 1920) ani stawić twardości, zdecydowanego oporu — Niemcy, — faszyzm przeciwstawił wielką aktywność. Płynęła ona z demagogicznie eksploatowanych uczuć narodowych i braku jakichkolwiek zasad. Laski — w zgodzie z Rauschningiem — powiada, że faszyzm we wszystkich swoich formach jest w gruncie rzeczy niczym innym, jak pozbawionym wszelkich zasad nihilizmem (str. 187). I dlatego poszukiwania genealogii filozoficznej hitleryzmu (Kant, Fichte, Hegel, Nietzsche) jest zupełnie bezplodne.

Gangsterom i wyrzutkom (outlaw's) nie potrzebna filozofia. Laski niewątpliwie ma rację, niemniej gangsterzy posłużyli się strzępkami niemieckiej filozofii dla zama-

skowania nagiego bezideowego gwałtu. Dokonali „postracjonalizacji“, zabiegając używanego często przez uzurpatorów i tyranów dla zamaskowania swojej nicości.

Laski podobnie, jak Marks i Engels, największą wagę przywiązuje do tego, że Niemcy nie miały nigdy rewolucji klasy średniej. Stąd bezideowość i tchórzliwość tej klasy. Uprzemysłowienie Niemiec — pisze Laski — podobnie jak Japonii było wynikiem sojuszu ludzi interesu z armią, arystokracją i biurokracją. „Niemcy do końca wojny 1914 r., były w gruncie rzeczy państwem 18-wiecznym, wyposażonym w nowoczesną technikę. Największym wydarzeniem w ich historii była w ciągu XIX i XX w. rewolucja, która nie nastąpiła“.

I z tego pomiotu historycznego, z tej niedonieszonej rewolucji wyrosła niemiecka forma faszyzmu: hitleryzm. Centralnym zagadnieniem faszyzmu jest pytanie: jakie warunki społeczne umożliwiają takim wy-

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

100 tysięcy „dlaczego?“

Sergiusz Piasecki, rozgłośny niegdyś w Polsce — w latach poprzedzających ostatnią wojnę — pisarz, autor interesującej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy“, budzący sensację swoją bujną przeszłością przemyślnika - bandyty i kryminalisty, wieloletni więzień Rawicza, Koronowa i Świętego Krzyża, piewca anarchicznej wolności i awanturniczego życia, ogłoszł w Nr 148 (443) z dn. 30 czerwca br. emigracyjnej „Gazety Żołnierza“ artykuł — list otwarty do redaktora „Odrodzenia“ p.t. „Dlaczego?“ List nosi datę: Warszawa, 27.IV.1946 r.

O cóż chodził w tym liście otwartym — artykule Sergiuszowi Piaseckiemu?

„Żyłem — powiada o sobie Piasecki — jako indywidualista, kochający wolność, patrzący na życie ze strony psychologicznej, gardzący polityką, szwindlem, handlarstwem, sadyzmem, przemocą i blagą we wszelkiej postaci i pod każdą maską... Byłem w więzieniach sześć razy. W sumie odsiedziałem czterdzieści lat... Jako pisarz zdobyłem uznanie i rozgłos w Polsce i zagranicą...“

To prawda — i to pięknie, choć charakterystyczna pogarda Sergiusza Piaseckiego dla polityki w latach ciężkiej walki polskich pisarzy demokratycznych i polskich demokratycznych polityków z przejawami „szwindlu, handlarstwa, sadyzmu, przemocy i blagi“ rzuca szczególne światło na postać i ideową postawę tego, który wedle własnych słów „sympatyzował z lwowską grupą pisarzy i poetów komunizujących“ i z pismem „Sygnaly“.

Ale to narazie nieważne. Dość na tym, że autor „Kochanki Wielkiej Niedźwiedzicy“ po długich podlizywaniach wynurzeniach i zawarowaniu sobie odpowiednich uprawnień moralnych stwierdzeniem, że „przed wojną zdobył duży rozgłos w Kraju i za granicą, a w czasie wojny bezkompromisowo walczył z okupantami w szeregach Polski Podziemnej, nie patrząc na ponętne propozycje hitlerowskie“ (czego nie próbujemy nawet kwestionować), stawia nieszczęsnemu redaktorowi „Odrodzenia“ aż sto pytań z kategorycznym żądaniem odpowiedzi na wszystkie to:

„Zaznaczam, — pisze — że proszę o odpowiedź na wszystkie pytania, a nie na niektóre, lub na fragmenty z nich. „Nie umieszczę listu (na łamach „Odrodzenia“ — przyp. mój — S. R. D.) będę uważał za strach przed polskim U. B. i rosyjskim N. K. G. B., demokrację polską za fikcję, a działalność Pana (t. zn. Kuryluka — S. R. D.) za wysługiwanie się imperializmowi rosyjskiemu“.

Ładny kwiat! I co ma teraz robić Karol Kuryluk?

Sergiusz Piasecki i tak okazał się dość miłośnikiem dla redaktora „Odrodzenia“. Mógł przecież postawić mu nie sto, a sto tysięcy pytań — i odrazu obwołać go „zdracą narodu“ i „moskiewskim pachołkiem“ w szustym przekonaniu, że Kuryluk napewno nie zda tak kłopotliwego egzaminu. Czyż to nie byłoby prostsze, niż stawianie takich pytań jak:

„Dlaczego w Rosji przywrócono reakcyjne tytuły wojskowe i złote naramienniki?“

„Dlaczego zamieniono tytuł komisarz na minister?“

„Dlaczego w Warszawie nawet trudno kupić gazetę PSL, a w innych miastach to prawie niemożliwe, nawet za cenę 50 zł., za egzemplarz? I dlaczego ta gazeta jest wydawana na tak lichym papierze i w złej szacie graficznej, wówczas, gdy Polska jest zasypana dobrze wydawanymi pismami propagandowymi?“

Nie wiem czy wojskowe tytuły pułkownika lub generała jako takie, same dla siebie mogą być reakcyjne lub postępowe — nosi! je wszakże i Jakub Jasiński i Kościuszko i Mierosławski, którzy nie byli reakcjonistami.

Wiem, że w Warszawie „Gazetę Ludową“ można wszędzie dostać za pięć złotych, a tu i ówdzie za dwa, że wydawana jest na papierze takim samym jak i inne dzienniki i że poza Sergiuszem Piaseckim nikt w całej

rzutkom społecznym, jak Mussolini i Hitler pochwylenie władzy?

Laski bardzo trafnie podchwycił komedię omyłek, której ofiarą padły niemieckie sfery konserwatywne, owi junkrzy wschodnio-pruscy i przemysłowcy reńsko-westfalscy, którzy wierzyli w przenikliwość i rozum polityczny Hugenerga, będąc pewni, że Hitler będzie w ich ręku posłusznym narzędziem. „Utożsamiali, jak zahypnotyzowani, jego ambicję ze swoimi ambicjami“. Wierzyli bezkrytycznie, że Hitler osiągnąwszy władzę stanie się ich człowiekiem, że podporządkują go sobie doświadczeniem i rozumem statystów. Nikt nie zrozumiał, że Hitler nie ma innego celu prócz władzy. Nikt nie rozumiał, że „wynoszą zaprzeczenie racjonalnych założeń porządku społecznego do godności naczelnej zasady rządu“ (str. 109). „Faszyzm jako zaprzeczenie obiektywnego ruchu historii“ jest z natury rzeczy zjawiskiem przejściowym.

Polsce nie dały za jej egzemplarz pięćdziesięciu złotych.

Nie jestem Kurylukiem i mogę bez narażenia demokracji polskiej na złą opinię, w oczach Piaseckiego nie odpowiadać na żadne ze stu pytań. Ale co będzie z Kurylukiem, który musi pod groźbą kandydaty odpowiadać, dlaczego gazeta PSL jest wydawana w złej szacie graficznej i dlaczego — co najciekawsze — on, Sergiusz Piasecki „pisarz polski, który jako samouk wyostał się z przepaści życia i stał się literatem, ukazując ludziom świat głębinowy ich braci z marginesu życia, który ma rzeczy napisane i ogrom materiału do nowych powieści“, uważa, że...

Niech teraz Kuryluk odpowiada przed światem i swoim sumieniem, „dlaczego tak łatwo załamali się i poszli na usługi wiadomym sferom bez mała wszyscy nasi publicyści i literaci w kraju“, tylko on, autor „Piątego Etapu“, Sergiusz Piasecki, którego „duch wypowiada się tam, gdzie chce sam, a nie gdzie i jak każe Ministerstwo Propagandy“, tylko on „musi milczeć, tulać się, ciężko zarabiać na życie i marnować czas zamiast pracować na właściwym mu polu literackim?“

Dlaczego? Dlaczego tak łatwo załamali się Staff, Nalowska, Wiktor, Gojawczyńska, Iwaszkiewicz, Parandowski, Dąbrowska, Makuszyński, Tuwim, prof. Kleiner, Broniewski i tylni inni, tylko on, Sergiusz Piasecki, sam jeden jak nowy Rejtan, zwał się obnażoną pierśią na wschodnim progu Rzeczpospolitej — i trwa.

Ech, Seriozka, nie strugaj wariata! — chciałoby się powiedzieć językiem „Kochanki Wielkiej Niedźwiedzicy“. Wszakże nie jesteś sam, duraczek! Bo i Hemar dochodzi, też Kato nielichy, i Jan Emil Skiński gdzieś się wreszcie odezwie. Towarzystwo niegorsze od tego, którego sugestywny opis można znaleźć w twórczości Sergiusza Piaseckiego. Więcej pocięto ton fałszywy?

Co do mnie, proponuję, Panu, panie Piasecki, co innego? Wymianę pytań na zasadach clearingu.

Oferuję sto tysięcy „dlaczego“ w dowolnych ratach miesięcznych po pięć lub dziesięć tysięcy pytań. Zaznaczam, — ściśle tak jak i Pan — że proszę o odpowiedź na wszystkie pytania, a nie niektóre lub na fragmenty z nich. Niewywiązanie się przez Pana z tego drobnego kłopotu uważać będę za dowód że nadal Pan wysługuje się „wiadomym sferom“, którym wysługiwał się Pan przed dwudziestu pięciu laty... W przypadku wyrażenia przez Pana zgody na moją propozycję, zobowiąże się w swoim własnym i pozostałych pisarzy polskich imieniu odpowiedzieć Mu na jego pytania.

Narazie chciałbym od Pana otrzymać równie dokładną jak i szczerą odpowiedź na pytania:

1. Dlaczego i w jakim charakterze grasował Pan przed ćwierćwieczem po obszarach Litwy, Białorusi i Rosji?

2. Dlaczego i za co przesiedział Pan czterdzieści lat w więzieniach?

3. Dlaczego ja uważam, że zdanie „Ja potrafiłem pisać nawet w więzieniu sanacyjnym, lecz pod batem obywatela ministra nie mogę, bo jestem człowiekiem, i pisarzem śmiałym, wolnym wewnątrz, a nie literacką prostytutką“ jest w ustach byłego agenta „dwójki“ śmieszna przechwałka?

Dlaczego, co wolno wojewodzie?...

I wreszcie, — powtarzając za Panem — czy Pan obecnie naprawdę czuje się już uczciwym człowiekiem i co Panu się śni po nocach?

Mógłbym jeszcze Pana zapytać, dlaczego Wilhelm II nosił czerwone szelki, lub dlaczego polskim kulmem karmiono niegdyś w Wielkiej Brytanii trzodek chlewną, ale te pytania pozostawiam sobie na potem. Narazie mi ich szkoda, tak jak tamtego kurku.

Widzi Pan zatem, że co się tyczy metody szantażu, którą lada emigracyjny chyłstek usiłuje nas tu wszystkich poustrzelać — to nie takie to proste. A dlaczego? Dlatego, że niech żaba nie podstawią łapy tam gdzie konia kwija.

Warszawa, w sierpniu 1946 r.

St. R. Dobrowolski

„System, który unicestwia wszystkie wartości za wyjątkiem tej, jaką ma władza, system, który jest gotów użyć bez wahania wojny, jako naturalnego środka polityki narodowej, musi być zniszczony, jeśli ludzkość nie ma pójść w niewolę“.

Laski nie ludził się, że militarne zwycięstwo zamknie historyczny etap walki z faszyzmem. Z niepokojem patrzy w stronę Ameryki, gdzie „pod pozorem formalnej akceptacji zasad demokratycznych, idea faszystowska głęboko przenikła w dusze amerykańskich businessmanów“ (str. 135). „Niejeden myślał, zwłaszcza w epoce Roosevelta, że na amerykańskich robotników przydałby się Hitler“.

Laski znawca ustroju i społeczeństwa amerykańskiego w słowach pisanych w 1943 r. wykazuje niewątpliwą dalekowzroczność.

„Jest możliwe, że powojenny wpływ Ameryki będzie raczej reakcyjny, niż postępowy. Większość amerykańskich businessmanów im są potężniejsi, tym bardziej nienawidzą „New Deal“; uważają reformy społeczne jako zaprzeczenie poprawy gospodarczej“. Istotnie, wiemy, już dziś napewno, że Truman nie jest kontynuatorem polityki Roosevelta. Dyplomacja atomowa oparta o światowy system baz, próby usilne pozbawienia Organizacji Narodów Zjednoczonych jakiegokolwiek praktycznego znaczenia, stanowisko zajęte w szeregu konkretnych zagadnień, jak np. w sprawie Hiszpanii, wszystko to zdaje się potwierdzać trafność przewidywań Laskiego.

PERSPEKTYWY POWOJENNE

Rozważania Laskiego na temat konieczności odbudowy organizmu międzynarodowego w miejsce Ligi Narodów straciły na aktualności, ponieważ Organizacja Narodów Zjednoczonych stała się faktem. Natomiast jego ocena powojennej roli Niemiec zasługuje na uwagę. Wychodząc z założenia, że sprawa organizacji pokoju, to sprawa właściwego planu ekonomicznego w skali światowej, Laski zastanawia się, jaką rolę wyznaczyć Niemcom. Wypowiada się zdecydowanie przeciw „agraryzacji“ Niemiec. Argumenty jego są dziś uprawie potwarzane przez wszystkich przeciwników uchwał poczdamskich. „Odrzemysłowienie“ Niemiec doprowadziłoby — jego zdaniem — do katastrofalnego spadku stopy życiowej ludności. Byłoby to powtórzeniem „najgorszych szaleństw Traktatu Wersalskiego“ (str. 230). Okazuje się więc, że nie pobłażliwość zwycięzców I-ej wojny była szaleństwem, ale właśnie zasłużona surowość uchwał poczdamskich. Laski chce oddać na usługi planowej gospodarki świata całkowity potencjał przemysłowy Niemiec. Ciężki przemysł niemiecki ma służyć celom pokojowym. Przemysł ten i siła robocza niemiecka mogłyby się przyczynić do odbudowy potencjału przemysłowego krajów zniszczonych. (...I see no reason why, for a period, the resources of German manpower and machines should not be employed in helping to repair the damage).

Laski, który wiele miejsca poświęca groźbie odrodzenia się kontrrewolucji w Stanach (With the defeat of Hitler, an America dominated by Big Business would rapidly become the chief patron of counter-revolution — str. 260) i trafnie przewiduje, że Ameryka będzie musiała dokonać wyboru między imperialistycznym cesaryzmem a nawiązaniem do tradycji Jeffersona, nie chce widzieć, że radykalne odrzemysłowienie Niemiec jest jednym z podstawowych warunków ugruntowania pokoju.

Nie wolno przemilczeć, że Laski znajduje surowe słowa potępienia dla polityki brytyjskiej w Indiach, i dla dyplomacji angielskiej w ogólności, która — jak ironizuje — tajemniczym zrzadzeniem opatrności w 50% wywodzi się z jednej jedynej szkoły w Eton... „Naszym największym i prawdziwym niebezpieczeństwem jest to, że w imię demokracji i wolności niszczyliśmy demokrację i wolność“. Słowa te — choć wypowiedziane w innym czasie i w innym kontekście — zachowały swój pełny walor i w dobie rządów Labour Party. Hiszpania i Grecja są tego wymowną ilustracją.

W konkluzji, Laski, przeprowadzwszy pełną temperamtu polemikę z odrodzonym amerykańskim laissez-fairyzmem (Lippmann) wypowiada się za systemem planowej gospodarki, która jedynie może zagwarantować wolność i demokrację.

Stanisław Ehrlich

*) Manifest Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego w Polsce opublikowała „Myśl Współczesna“ Nr. 1.

TADEUSZ GRZEBIENIOWSKI

ZE SPRAW ANGIELSKICH

ANGLIA I RESZTA ŚWIATA

Bardzo wybitny i szeroko popularny publicysta obozu whigów w pierwszych latach ubiegłego stulecia, profesor filozofii moralnej i wychowawca społeczeństwa, Sidney Smith, w następujący sposób określił zadanie organizacji państwowej: „Celem państwa jest pieczęć barania, ziemniaki, wino czerwone, dzielna policja, uczciwi sędziowie, goście wolne od zbójców, kościoły, w których można się modlić według upodobania”. W ten sposób przedstawiają się, według popularnego wykładu, kategorie myślenia o istocie państwa. Z określeniem tym wiąże się pojęcie warunków, od których zależy status republikański, a równocześnie wypływają zeń wnioski o drogach działania politycznego zarówno w sprawach wewnętrznych, jak i w stosunkach z zagranicą. Bo myśl o uzależnieniu egzystencji Anglii nie tylko od odpowiedniego rozwiązania problemów wewnętrznych, lecz także od pożądanego dla niej porządku gospodarczego w świecie, leżała u podstaw ustawy z r. 1846*).

Ideę wolnego handlu w skali wszechświatowej torować zaczęto dopiero w końcu XVIII w. W zastosowaniu praktycznym, idea ta miała, z jednej strony, zdźwignąć Anglię wraz z innymi krajami na wyższy poziom bytu materialnego, z drugiej zaś, zapewnić ludzkości wieczne zbawienie od przekleństwa wojny; powszechna pacyfikacja zdawała się być nieuniknionym następstwem triumfu nowych pojęć o gospodarce światowej. W ideę wolnego handlu wierzone niezłomnie jako w zdroj, z którego spłyną błogosławieństwa na cały rodzaj ludzki. A jeśli owe błogosławieństwa miały przede wszystkim spłynąć na Anglię, przed innymi narodami również otworem stała brama do obywatelstwa rajowego. Nadzieje owe i dążenia zyskały na sile i zasięgu ekspansji w rewolucyjnym roku 1846. Wizja zbliżającej się chwili ziszczenia marzeń o zbawieniu ludzkości pod znakiem wolnego obrotu towarami i pieniądzem służyła się nie tylko ekonomistom i politykom, lecz i przedstawicielom świata literatury. Typowy reprezentant poezji wiktoriańskiej, Alfred Tennyson, w natchnionych swych wierszach wskazywał na widok „niebios pęczniejących od handlu”, a w związku z tym zapowiadał bliskie otwarcie okresu powszechnego pokoju i ogólnoludzkich celebracji, z chwilą

„Gdy zamilknie bicie bębnow, a zwinięto sztandary bojowe
Złożone zostaną w Parlamencie
Ludzkości, w Federacji Narodów“.
(Locksley Hall)

Stuletnia idea żyje po dzień dzisiejszy. Mimo odmiennych warunków gospodarczych i licznych przesunięć w systemie światowych sił politycznych, współczesna dyplomacja angielska wykazuje i te same metody i ten sam kierunek dążeń, realizując tennisonowski utopijny „Parlament Ludzkości” czy to w postaci chybionej „Ligi Narodów”, czy też obecnej „Organizacji Narodów Zjednoczonych”. Jednakowoż pierwotnej, czysto angielskiej inspiracji udzieliły się ostatnio wpływy amerykańskie, a myśl o kierowniczej roli Wielkiej Brytanii w dziele przebudowy świata i jego pacyfikacji musiała zrezygnować z dawnego prawa wyłączności i oddać się w służbę bloku narodów anglosaskich.

Już w dawniejszym okresie swoich dzieł, na długi czas przed używaniem idei wolnego handlu, uważała się Anglia za powołaną do regulowania spraw międzynarodowych, przede wszystkim w odniesieniu do kontynentu europejskiego. „C'est pour Anvers que je suis ici”; tymi słowami, hipotetycznie włożonymi w usta Anglika, tłumaczył Napoleon punkt wyjścia i kierunek kroków angielskich na terenie kontynentu. Antwerpia była dla Anglii symbolem, którego świętości broniła od czasu zapoczątkowanej po pokoju w Utrechcie polityki „równowagi sił” w Europie. O symbol ten walczyła przed Napoleonem, o symbol ten wypowiedziała wojnę Niemcom w r. 1914. „O jedno małe miasteczko w Belgii więcej im chodzi, aniżeli o starożytnie państwo polskie”, żalił się J. U. Niemcewicz („Dziennik podróży zagranicą”), gdy, jako wysłannik Rządu powstańczego w r. 1831 daremnie zabiegał na Downing Street o interwencję na rzecz polskiej sprawy listopadowej. Nie będąc zawodowym dyplomata, nie orientując się w drogach i celach polityki brytyjskiej, nie dostrzegając Niemcewicz znaczenia Antwerpii — symbolu.

Druga połowa ubiegłego stulecia przyniosła wielką zmianę na kontynencie europejskim. Wyrosły bismarkowskie Niemcy, których widok nie mógł nie skłonić Anglii

do refleksji nad koniecznością odpowiednich korekt w jej stosunkach z Europą. Mimo pewnego cienia, który od strony Niemiec padał na pole angielskich zainteresowań kontynentalnych, do roku 1914 sprawy układały się na ogół, w sensie dla Anglii korzystnym. Jako bardzo wysoko przez Anglię ceniony producent, czerpały Niemcy surowiec z zamorskich krajów Korony angielskiej. Płaciły wartościową walutą, którą brytyjcy poddani zza mórz oddawali lojalnie krajowi macierzystemu w zamian za towar z Manchesteru i innych ośrodków lekkiego, czy też ciężkiego przemysłu Wielkiej Brytanii. Towar niemiecki przedstawiał wprawdzie niewątpliwie groźną konkurencję dla angielskiego. Wszakże w imię lojalności, a równocześnie z wiarą w jego bezkonkurencyjnie wysoką jakość, kupowano wyrób rodzimy, chociaż od niemieckiego droższy. Zresztą ogólna zamożność pozwalała wówczas nie zwracać uwagi na różnicę w cenie. Na skutek współzawodnictwa z Niemcami, pozycja strat po stronie przemysłów angielskich była, mimo wszystko, pozycją poważną. W ogólnym jednak bilansie, w zestawieniu z ogromnymi wpływami pieniężnymi ze strony Niemiec, jako odbiorcy surowców, względna waga strat angielskich traktowana była stale jako kwantitatively négligeable. Tak więc, na odcinku handlowym stosunków angielsko - niemieckich kontą w „City” przedstawiały się dla Anglii wybitnie dodatnio.

Z konyseracji nad tym stanem rzeczy urobiła się w „City” niezmienna forma myślenia o roli Niemca, jako pożytecznego dla Anglii kupca i przetwórcy. Tego rodzaju myślenie, przerwane przez pierwszą wojnę światową, odżyło po r. 1918. Odżyły dawne konyseracje, a na ich podstawie wytworzył się krytyczny stosunek do sposobu załatwienia sprawy niemieckiej w Wersalu. Uważano, że postanowienia traktatu pokojowego były dla Niemców krzywdzące, gdyż spowodowały ich zbyt wielkie osłabienie gospodarcze, co wiązało przyczynowo z angielskimi kryzysami gospodarczymi w okresie międzywojennym; Niemcy stały się niezdolne pełnić dawną, dla Anglii pożyteczną funkcję w strukturze gospodarki międzynarodowej.

Myślenie tym nieodłącznie towarzyszyła tęsknota za okresem niezamkniętej pomyślności w długich latach przedwojennych, kiedy to funt sterlingowy, lord gospodarki światowej, dyktował swoją wolę; kiedy kupiec z „City” przyjeżdżał do Paryża, Berlina, Warszawy, obejmował rezydencję w hotelu i rozsyłał miejscowym kupcom swe bilety firmowe, a ci kołatał doń o towar angielski. Z tęsknotą myślano o tym w niepomysłnym okresie międzywojennym, kiedy kupiec z „City” przyjeżdżał do Paryża, Berlina, Warszawy, ale już sam musiał kołatać do miejscowych kupców, oferować im towar angielski i zabiegać o jego kupno.

Zmienione postanowieniami traktatów pokojowych z r. 1919 geograficzne oblicze Europy nie spotkało się, pod pewnymi względami, z aprobatą ze strony „City”. Nie na rękę jej była, między innymi, delimitacja między Rzeszą a Polską, gdyż nie dawała gwarancji trwałości stosunków i pomniejszała szanse trwałego pokoju. Na wschodnich granicach Rzeszy tliły się nadal, w przekonaniu „City”, iskry pozostałe po świeżo minionym pożarze; iskry te należało możliwie najdokładniej wdeptać w ziemię, aby zapewnić Europie trwałą pokój i stworzyć odpowiednią dla handlu atmosferę. Na tle tego rodzaju pojęć i życzeń zrodził się jeden z aksjomatów „myślenia City”, spopularyzowany obrazowo w postaci formułki o gospodarczej roli Niemca: Let him eat his bellyful in the East, and carry on trade with us in the West — „niechaj nażre się do syta na wschodzie, a z nami handluje na zachodzie”.

We wnioskach z tej koncepcji wpływających leżało źródło brytyjskiej polityki lokarneńskiej, poddanej wpływom „myślenia City”. Uważano, iż Niemcy, przede wszystkim, zaspokoiwszy na wschodzie swój apetyt drogą realizacji swych rozszczeń terytorialnych, z czasem staną się ponownie tak wartościowym dla Anglii partnerem gospodarczym, jak to było przed r. 1914. Stąd, między innymi, niechęć do państwa polskiego w latach międzywojennych, jako do czynnika fermentu na wschodnich granicach Rzeszy, utrudniającego normalizację stosunków w Europie.

W „City” nie zdawano sobie początkowo sprawy z tego, iż źródło fermentu leżało gdzie indziej, bo w samym sercu krzepnących po Wersalu Niemiec. Nie brano na serio napisu na berlińskim pomniku, który został, ku uczeniu pamięci poległych w pierwszej wojnie światowej, wzniesiony

przez zwolenników idei odwetu i nowej wojny o przodującą rolę Niemiec w świecie: Mortuis, non victis, victuri.

Angielska elita umysłowa, obserwując z wyżyn polityki i nauki dokonywającą się w Niemczech ewolucję w kierunku, który im wytyczyli victuri, studiując nową ewangelię narodu niemieckiego w postaci książki Hitlera, widząc wyłożone na stół otwarte hitlerowskie karty gry o przyszłość Niemiec, uległa uczuciom niepokoju. Uczucia te miały wszakże zasięg ograniczony do grona nielicznych, szerszego wpływu politycznego pozbawionych intelektualistów. Nad Anglią i jej polityką w dalszym ciągu prawie niepodzielnie panowało „myślenie City”.

Dopiero gdy zauważono, jak Hitler pierwsze części swego programu realizuje punkt po punkcie, z bezwzględną konsekwencją, wówczas, w przewidywaniu dalszych z jego strony, z prawa konsekwencji wypływających, a dla Anglii już bezpośrednio groźnych kroków, uderzono na alarm. „City”, która z uporem odwracała dotychczas oczy od kart hitlerowskich i jak najdalej odsuwała myśl o możliwości wojny, nagle została nawrócona i przekonana o konieczności zmiany „myślenia”. Bez wahania poszedł za nią ogół angielskiej opinii publicznej. Stało się to dopiero latem roku 1939. Rola swą odegrała, pod tym względem, przede wszystkim prasa, rolę pomocniczą pełniły mnożące się publikacje (ciekawą zwłaszcza była seria broszur oksfordzkich p. t. „Oxford Pamphlets on World Affairs”, z których jedna, z niemieckim, w cudzysłowie ujętym tytułem „Mein Kampf”, specjalnie była poświęcona egzegezie ewangelii hitlerowskiej). Pograżone w kwietyzmie społeczeństwo angielskie porzuciło nagle postawę bierności i prawie jednogłośnie poszło po antyniemieckiej linii polityki rządowej. Zasada let him eat his bellyful in the East została zarzucona; dwukierunkowość, bo nie tylko na wschód lecz i na zachód, zamierzonego ciosu była zbyt oczywista, aby mogła pozostawiać jakiegokolwiek wątpliwości.

Jeden z programowych wykładów polityki hitlerowskiej na przyszłość zawarty został w ogłoszonej już podczas drugiej wojny publikacji profesora historii na uniwersytecie w Rostoku, Wilhelma Schüsslera, p. t. „Das Reich und die Reichsidee”. Teza była następująca: W drugiej połowie ubiegłego stulecia Prusy stały się ośrodkiem krystalizacji nowego porządku rzeczy niemieckich. Luźne państwa niemieckie skupiły się i skonsolidowały dookoła Berlina. Proces zakończył się faktem stworzenia Rzeszy bismarkowskiej. Obecnie dokonuje się, na dalszym i wyższym etapie, proces analogiczny: skonsolidowana dzięki Bismarkowi Rzesza stała się ośrodkiem krystalizacji porządku rzeczy europejskich. Jak w poprzednim okresie Prusy przewodziły zjednoczonej Rzeszy, tak odtąd Rzesza przewodzić będzie zjednoczonej Europie.

Idea W. Schüsslera sformułowana została dopiero w czasie minionej wojny. Kiełkowanie jej rozpoczęło się jednak znacznie wcześniej, i stosunkowo wcześnie zostało w Anglii rozpoznane; komentarze były wszakże nieśmiałe i ograniczone do prywatnych rozmów elity.

Pierwszym, bodajże, oficjalnym głosem ostrzegawczym o jej niebezpieczeństwie było powiedzenie Baldwina w roku 1937: „Granica Anglii leży nad Renem”. Ponownie tedy zaczął nabierać znaczenia dawny symbol Antwerpii, jednakowoż bez wpływu na szersze sfery społeczeństwa.

Przewidziane w programie hitlerowskim władztwo Rzeszy nad Europą prowadziło w oczywisty sposób do władztwa nad światem; po dwóch poprzednich etapach krystalizacji, najpierw Rzeszy dookoła Prus, następnie Europy dookoła Rzeszy, na podstawie żelaznego prawa konsekwencji nastąpić by musiał etap trzeci: krystalizacja świata dookoła Europy, zjednoczonej pod hegemonią Niemiec. Nie trudne były do wyciągnięcia wnioski o stopniu zagrożenia podstaw egzystencji Imperium Brytyjskiego.

Sprawy angielskie stały się przedmiotem badań, po stronie niemieckiej jeszcze w okresie dawniejszym, bo jeszcze w latach przedhitlerowskich dało się zauważyć zwiększone ożywienie zainteresowań sytuacją i polityką Anglii. Obserwacja niemiecka tycała, przede wszystkim, tego stadium jej życia politycznego, gdy pod wpływem wstrząsu pierwszej wojny światowej poczęły się znacząco poważać rysy na gmachu Imperium Brytyjskiego. Stwierdzono, że zagrożona została brytyjska Küstenkultur (prof. J. Hatschek): wspólna kultura, przede wszystkim kultura gospodarcza, która poprzez fale oceanów łączy, za po-

moć nici biegnących od brzegu, rozsypa- ne po świecie poszczególne części Imperium. Łącznik tak potężny, jak kultura międzybrzeżna, uległ po pierwszej wojnie światowej poważnemu osłabieniu na skutek działania siły przeciwnej, zwanej Binnenkultur („kultura śródlądowa”); może dojść do tego, iż związek śródlądowy, który zacieśnia się coraz bardziej np. między Kanadą a Stanami Zjednoczonymi i okaże się silniejszy, aniżeli dawniejszy międzybrzeżny związek Kanady z krajem macierzystym. Stąd, przede wszystkim, jasną jest dla Anglii konieczność pełnej władzy na Siedmiu Morzach, aby utrzymać „Küstenkultur” w jej dawnej sile i tą drogą salwować integralność imperialną.

Panowanie nad morzami, to dla Anglii articulus stantis aut cadentis Imperii.

Jeszcze zanim W. Schüssler opublikował swoją tezę „Das Reich und die Reichsidee”, jeszcze zanim Hitler w swych prostackich mowach wojennych zaczął używać prowokacyjnego przeciwstawienia Grossdeutschland und Britanien (z celowym opuszczeniem prefiksu Gross-), dając w ten sposób folię swoim, do chwili wybuchu wojny tłumionym uczuciom i aspiracjom, do umysłów angielskich przeniknęła świadomość grożącego niebezpieczeństwa; brytyjska Küstenkultur musiała być, mimo Hitlera, za wszelką cenę uratowana, Niemcy zaś mogły egzystować nadal ku pożytkowi Anglii, ale w ograniczeniu do swej własnej Binnenkultur na kontynencie europejskim. Jednakowoż o destrukcji Niemiec w sensie życzeń francuskiej i polskiej nigdy nie było mowy, chyba tylko, nieco później i to przejściowo, w wojennej propagandzie antyniemieckiej. W czasie pokojowym, wszakże, niechaj Niemcy gospodarzą i gospodarze kwitną, przy czym Anglia musi być regulatorem życia niemieckiego i utrzymywać je w odpowiednich proporcjach. W wypadku prób niepożądanego ekspansji, z ich strony, w zakazaną przez angielską rację stanu sferę interesów handlowych, gotowa jest Anglia uciec się ponownie do symbolu Antwerpii.

W czasie wojny burskiej, Joe Chamberlain (ojciec przyrodniczy braci Austina i Neville'a) został, jako Minister Kolonii, zainterpelowany w parlamencie na temat nowej instytucji obozów koncentracyjnych dla Burów, instytucji, która — zdaniem interpelującego mówcy — była nie do pogodzenia z zasadami humanitaryzmu. Minister Kolonii uchylił zarzut argumentem konieczności zastosowania obozu, jako środka prewencyjnego; zapewnił Izbie, iż z wyjątkiem pozbawienia wolności osobistej, więźniowie nie mogą mieć żadnych podstaw do skarg na nieludzkie traktowanie; dodał, iż życie internowanych Burów jest sielanką w porównaniu z położeniem Polaków w takim olbrzymim obozie koncentracyjnym jak zabór pruski.

Niemiecka opinia publiczna zawrzała z oburzenia. Głos protestu podniósł, w pierwszym rzędzie, poeta Hermann Löns, który w diatrybie p. t. „Germanentum gegen Schachertum” (t. j. szacherstwo angielskie w przeciwstawieniu do wysokiego etosu Niemiec) rzucił pod adresem narodu niemieckiego retoryczne pytanie: „Czy słowa Chamberlaina należy określić jako freche Dummheit, czy też jako dumme Frechheit?”. Następnie, natchniony gniewem i nienawiścią do Anglii z powodu aluzji Chamberlaina do położenia Polaków w zaborze pruskim, skomponował Löns głośną pieśń zwaną „Englandlied”. Pieśń owa w stosunku do Anglii, w tonie swoim była tym, czym „Rota” Konopnickiej w stosunku do Niemiec. (Pierwsze jej słowa „Wir fahren gegen Engelland” znane są dobrze mieszkańcom b. Gubernii Generalnej z barwnych afiszów, anonujących długo wyświetlany film propagandowy dla Weltmachtu, w okresie największego nasilenia morskiej i powietrznej ofensywy na Anglię).

Porównanie z „Rotą” tyczy tylko tonu. W krótki czas po incydencie z Chamberlainem fala oburzenia przeciw Anglii opadła. Podniosła się ponownie podczas pierwszej wojny światowej, a potem znowuż podczas drugiej. Podobny charakter miały akcje i reakcje po stronie angielskiej. Były to więc objawy, sądząc po ich zachowunku, po obu stronach dość powierzchowne; antagonizm bowiem angielsko - niemiecki nie ma i mieć nie może korzeni tak głębokich, jak antagonizm między Polską i Niemcami, Francją i Niemcami. Jest to antagonizm periodyczny, występujący od czasu do czasu na tle zmasaż między dwoma imperializmami o trójżab Neptuna i hegemonię nad światem; nie jest to odwieczna, obronna walka o prawo do życia na własnej, stale zagrożonej glebie. (C. d. n.).

Tadeusz Grzebieniowski.

*) Por. 1 część art. Nr. 24 „Kuznica”.

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(List czwarty)

Sekciarstwo. Tak — mam do niego bezwzględna skłonność. Prawdopodobnie dziedziną. Chociaż coraz mniej wierzę w prawo dziedzinienia. Coraz bardziej przekonuję się do zasady uwarunkowania raczej bezpośredniego, aktualnego. Był warunkuje psychikę, jej promieniowanie. Także w sensie szeptanej propagandy. Myślę, mianowicie, że gdyby nam się udało poprawić byt materialny emerytów licznych, typu krakowskiego, wiele wymyślonych plotek nikczemnych i zabawnych zniknęłoby z powierzchni południowej Polski.

Bardzo źle żyją starcy. Żle i nieprzyzwoicie — żebrzą. Ale i nie żebrzący starszowie szkoda porządkowi społecznemu. Za droga jest dla nich dobra informacja i rozrywka umysłowa. Nie zorganizowany dostęp do czytelników czasopism. Rozgoryczenie emerytów jest często usprawiedliwione. Trudno wymagać od starców codziennego heroizmu. Zwrócił mi na to uwagę dziennikarz — Szwajcar. Trzeba się umieć litować nad starościami — dostarczać jej karmu dla wszelkiego przeżuwania, w przeciwnym razie karmić się będzie własną passywnością. A bierność jest zaraźliwa.

owszem, trochę paradoksalny, którym mówię o kościele, ale treść związana z tym systemem. Jak można podniecać umysły teza o błogosławionych skutkach sekciarstwa dla etyki, czynnej etyki chrześcijańskiej?

Tłumaczą się prosto wielowiekowym splendorem humanizmu. Humanizm. Słowo, którym bardzo chętnie posługują się rozmaici pisarze, dywagujący na łamach prasy katolickiej. Przypomnijmy ludziom prostym, skąd się wzięło to słowo. Skąd się wzięło pojęcie legitymujące działalność literacką moich przyjaciół, stroniące mnie za i opieranie odstępstwa.

Humanizm przynieśli do Polski włoscy sekciarze w połowie wieku XVI-go. Ochino, Gentile, Brandrata — wszyscy entuzjaści Erazma z Rotterdamu, wyznawcy moralnej autonomii człowieka. Erazm z Rotterdamu nie był nigdy świętym — przeciwnie — ale pradziad mój Erazm, rektor Akademii Rakowickiej, nosił to obce imię nie na cześć świętego, lecz wprost przeciwnie. Ci Włosi narobili w Krakowie, a potem i w innych miastach Polski wiele bigosu. Nie do jedzenia. Przez następne pół wieku bigos rósł. Nigdy w Polsce ani przedtem, ani potem nie kon-

kach. Znęcała go Biblioteka Jagiellońska. Ale po pół roku bytności w Krakowie stracił na minie. Nie może się żyć ze zwyczajami krakowskich bibliotekarzy. Krytykuje także jakość księgozbiorów. Rzeczywiście trawic biurokracizmy tej wspaniałej Instytucji — to sprawa wcale nie łatwa. Znaleźć coś potrzebnego — równie trudna. Trudna nie tylko z powodu indolencji pracowników czytelników. Literatura naukowa polska z pełną niesamowitego wdzięku nonszalancją lekceważy najważniejsze okresy naszej kultury. Inne oświetla jednostronnie, tendencyjnie, stawiając tezę pozbawioną obiektywizmu naukowego.

Bardzo dużo zajmowała się polonistyką mistycznym nurtem w pozycji romantycznej. Nikt nie pomógł nam zobaczyć w Słowackim czy Krasińskim zwykłych psychologów. Nikt nie dał syntetycznego oświetlenia refor-

macji polskiej. Nikt nie zbliżył naprawdę do racjonalizmu polskich uczniów Erazma. Epoka pozostaje wyłącznie w luźnych rozprawach, właściwie w dokumentach. Dzieła klarownego, wychowawczego brak. Kto je napisze?

Dwóch, zresztą przytomnych profesorów krakowskich odpowiedziało mi na to — Dlaczego się pan nie weźmie do tego?

Stanisław Kot pełni obowiązki ambasadora w Rzymie. Jan Kott robi wszystkie możliwe i niemożliwe rzeczy — pozatym także podróżuje... Może więc rzeczywiście wziąć się skończy do pracy naukowej.

W literaturze pięknej zastąpią mnie moi, również jak ja, megalomaniacy uczniowie, w tańcu Woltuś Natanson, humorowi da radę Waclaw Kubacki... Tak, ale kto mnie zastąpi w posłdztwie w Bolwii?

Stefan Otwinowski

RYSZARD MATUSZEWSKI

Kto kogo wziął za diabła?

Zamieszczając w Nr 28 „Kuźnicy” artykuł o autentyzmie, zdawałem sobie sprawę, że wsadzę kij w mrowisko. Jak można było spodziewać, prócz polemiki spotkałem się z ostrą napaścią osobistą, która rzecz jasna, mało mnie przekonała o rzekomej niesłuszności moich wywodów. Stała się jednak rzecz zadziwiająca. Używszy sobie na mnie ile wlezie w uwagach o „belferskim ocenialstwie”, milicjancie, który „zestawia protokół”, rozdawaniu kopniaków i pryncypialistycznym kaznodziejstwie, nazwawszy moje racje zandarmskimi i prokuratorскими, a mnie dla odmiany raz Torquemadą to znów swawolnym Dziemem i „Skargą na Czerwoną”, zdenerwowany krytyk „Wsi” p. Stefan Lichański czyni na końcu artykułu nieoczekiwany zwrot, stwierdzając, że — „lepiej by było nie wprowadzać do dyskusji literackiej atmosfery przypominającej łódzki Zielony Rynek, gdzie sobie kumoszki raz po raz „rozstawiają faniłkę po kątach”. Wyznaniem to jest tak rozbijające dla każdego, kto czytał mój artykuł, a następnie polemikę Lichańskiego, że pozostaje istotnie tylko zdziwienie, jak człowiek oceniający z racji swego zawodu zjawiska humanistyczne, może nie mieć tak dalece poczucia proporcji. Przejdźmy jednak do spraw merytorycznych.

Pierwszym zarzutem Lichańskiego jest to, że powiązałem w jedno autentyzm Czernika, uwagi o autentyzmie, poczynione przez krytyka, który do autentyzmu żywi zastrzeżenia i poezję Frasiaka, który za program poetycki Czernika nie odpowiada. Otóż moim zdaniem obowiązkiem krytyka jest nie tylko — jak mówi Lichański — „wyszukiwać wszelkie związki, wszelkie kielki, z których może wyrósć coś nowego”, ale także i przede wszystkim ustalać właściwe związki zjawisk literackich pomiędzy sobą, oraz pomiędzy nimi a podłożem, na którym wyrastają. Dopiero ustalenie tych związków pozwala popierać — jak chce Lichański — młode talenty, czyniąc to w sposób celowy, oraz, używając słów Lichańskiego, „dogadywać się z ludźmi, uzgadniać poglądy, odradzać, doradzać, co tam ze swoich poglądów przy pomocy biała pięścią w stół (to Lichański tak twierdzi, nie ja) preferować, z czegoś mniej istotnego ustąpić...”. Powiązanie programu poetyckiego Czernika z tym, co realizuje Frasiak i Ozóg i z tym, co głosi Lichański zostało przeze mnie dokonane wyłącznie na podstawie tekstów, których przytoczyłem w swoim artykule dużo, tyle, ile tylko moje i tak nadmiernie rozrośnięte studium mogło zmieścić. Mogę zapewnić Lichańskiego, że za materiał przykładowy do moich też mógłbym poza tym użyć wszystkich nieomal wierszy cytowanych poetów, i nie tylko wykorzystać cały artykuł „Perspektywy autentyzmu”, łącznie z miejscami, w których autor wyraża swe zastrzeżenia w stosunku do Czernika, ale całą wogóle twórczość krytyczną Lichańskiego. Z czego to wynika? Z właściwości moich też. Z tego, że są to tezy ogólne, że według nich wśród zjawisk literackich występuje pewna, dość powszechnie obowiązująca, choć w różny sposób przejawiająca się prawidłowość.

Różnica między metodą Lichańskiego a moją nie leży w sposobie podchodzenia do ludzi, i w tym, że on chce ludzi zjednać żywcem, a ja „przerobić wszystko od a do zet na swój gust”. To jest błąd. Różnica leży w tym, że Lichański widzi inne związki zjawisk niż ja, co innego wydaje mu się dobrą poezją niż mnie, i dla innych zjawisk niż ja okazuje on życzliwość. Mogę udowodnić Lichańskiemu cytatałami z jego własnych prac, że nie okazuje on żadnych gestów życzliwości ludziom wyznającym światopogląd materialistyczny.

Związki, które ja widzę między programem Czernika, teżami Lichańskiego, oraz poezją Frasiaka i Ozoga są dla mnie bardzo istotne właśnie przez to, że wszystkie te zjawiska znajdują się w podobnym stosunku do zachodzących procesów społecznego rozwoju: teoria Czernika uzasadnia wiejski konserwatyzm i separatyzm, wiersze są ich świadectwem, a Lichański uważa za najważniejsze zadanie krytyka dzisiaj zwalczać Majakowskiego i Br. Jasińskiego, a popierać autentystów. To wszystko coś przeciwko mi i jakoś to trzeba nazwać. Według mego poglądu na procesy rozwojowe

kultury wszystko to są zjawiska w procesach tych opóźnione lub je opóźniające. I najciekawsze, że Lichański, odnośnie Frasiaka, jest ze mną w zgodzie, poucza mnie tylko że „opóźniony” to co innego niż „wsteczny”.

Gdyby Lichański z lepszą wolą przeczytał mój artykuł, przekonałby się, że twórczość mało intelektualnie zdyscyplinowanego poety przedstawiam wszędzie jako rezultat pewnych oddziaływań, m. in. fałszywej teorii estetycznej autentyzmu Czernika, a nie jako świadomy wyraz jakichś dążeń wstecznych. Nawet sam autentyzm, choć był niewątpliwie ideologią wsteczną, nie stanowił w ujęciu Czernika siły wstecznej świadomości tj. użytej bezpośrednio do walki z siłami postępu. Był odpryskiem w ogólnej fałszywej wsteczności, w jakiej toniła epoka. Natomiast obecne tendencje krytyczne Lichańskiego, cała polityka pisarska, którą prowadzi, nosi bez wątpienia znamiona walki z tym wszystkim, co procesy rozwojowe przyspiesza, co stanowi realną siłę dążeń postępowych. Niech pan nie udaje przerażonego, panie Lichański — to nie jest gest Torquemady, ani apel do ministra bezpieczeństwa. Pojęcia postępowy i wsteczny mają o wiele szersze, poza policyjne znaczenie w badaniu zjawisk kultury metodą, której pan nie uznaje, i pan o tym dobrze wie. Pan może nie zgadzać się z naszym, opartym na ekonomii i socjologii twierdzeniem, że procesy rozwojowe przebiegają w ten właśnie sposób i twierdzić, że to, co my nazywamy postępowem — nie jest nim. Panu wolno. Musi pan to jednak udowodnić. To, albo brak przedstawionej przeze mnie korelacji między zjawiskami literackimi a społecznymi.

O społecznej roli poezji Frasiaka pisze pan: „konfrontuje on ów świat pojęć i wyobrażeń (dawny, wiejski — przyp. nasz) z nową rzeczywistością, wyprowadza go poza zamknięte w opłotkach życie wiejskiej gromady na scenę dziejów narodowych”. Niech pan to udowodni. W czym to się przejawia? Teksty! Teksty!

Pisze pan: „gdyby Frasiak zdołał przejść na takie stanowisko wobec rzeczywistości chłopskiej, opisywanej w swych wierszach, jakie zdobyli nasi romantycy, (związka Mickiewicza z „Panu Tadeuszu”) wobec rzeczywistości szlacheckiej — jego poezja byłaby najzupełniej uratowana”. Złota myśl, panie Lichański. I nic do dodania.

I pisze pan dalej: „od tego przelomu dzieł Frasiaka jeden tylko krok: wstawienie filtru intelektualnego między materiałem życiowym a swoje dzieło poetyckie, i krytyk powinien mu zrobienie tego kroku ułatwić”. Zgadza się! Myślę tylko, że musiałby to być bardzo duży krok. Myślę więcej. Jestem najgłębiej przekonany, że to ja właśnie, stosując moją metodę, pomaganu mu krok ten uczynić a nie pan.

Zgadza się także, że talent intelektualny jest przecież także talentem i może wiele zdziałać, byle nie wychodził poza właściwy rodzaj twórczości. Tylko, że w miarę rozwoju kultury umysłowej, jest to coraz trudniejsze i coraz mniej jest rodzajów, gdzie nie obowiązują „filtr intelektualny”. Ten właśnie filtr jest przeważnie potrzebny żeby ujrzyć w świecie ludzką rzeczywistość, żeby poezja była humanistyczna. Umiejętność patrzenia i przekazywania prawdy o człowieku jest coraz ściślej związana z postawą intelektualną, jeżeli nawet nie racjonalistyczną. Dlatego właśnie poezję wiejskiej sielanki, która jak pan sam stwierdza jest aintelektualna i w bardzo ubogi i niedostateczny sposób wyraża prawdę o człowieku — można nazwać odhumanizowaną.

Chociaż wiersze Frasiaka istotnie dalekie są od doskonałości, co zresztą sam pan przyznaje, to nie wiem gdzie znalazł pan u mnie twierdzenie, że poeta ów jest literackim zrem. Celowo w bardzo ograniczonym zakresie poddawałem jego utwory analizie formalnej, chadziło mi bowiem o co innego. Formalna dyskwalifikacja dwu jego cytowanych wierszy wyszła właśnie od pana. Określenie jakiejś tendencji społecznej jako „wstecznej” a zarzut grafomanstwa to dwie rzeczy różne, choć się czasami pokrywają. Ani Sienkiewicz ani Krasiński nie byli grafomanami. Nie oznacza to także wolania o policję. Nie taki djabł czarny, tylko kto kogo wziął za diabła, panie Lichański?



Kilka miesięcy temu „otrzymaliśmy ogleń” publicystyczny na temat złego stosunku społeczeństwa dojrzałego do dzieci. Pisał, między innymi, Zagórski — że jeśli dzieci w Polsce nie będą lepiej odżywiane, grozi narodowi chęrcactwo. Słusznie. Dzieci nie są już teraz w ciemni bite. Podbechtane przez Zagórskiego i innych literatów, zagroziły strajkiem szkolnym, jeśli nie dostaną specjalnych paczek pożywnych i z czekoladą. Pomogło. Zwiedzaliśmy niedawno z komisją PCK kolonię dziecięcą na Podkarpaciu, sprawdziłszy system rozprawiania darów państwowych, społecznych, zagranicznych. System ten działa coraz lepiej. Dzieci dostają czekoladę. Dobrze wyposażone po czekoladzie czytają „Świerszczyka” i redagują „Młoda Rzeczpospolita” na zmianę z Eilem i Balickim.

Byliśmy kilka dni temu na otwarciu Domu Wypoczynkowego dla dzieci zagrożonych gruźlicą. Dom stoi na pięknym podkrakowskim wzgórzu. Dzieci przywitały przedstawicieli prasy zachowawczej piosenką „Płynię Wista, płynie, po polskiej krainie — zobaczyła Kraków, pewno go nie minie...”. Dla ludzi orientacji bardziej postępowej demokratycznej wykonaną rzecz ludową: „Chodził do mnie cała zima — wpuszczałam go pod pierzynę...”. Autentyczne. Może by Balicki i Eile pomyśleli skończy o piśmie kształcącem wyobraźnię nie tylko w kierunku publicystycznym, ale i artystycznym. Trzeba by napisać śpiewnik, w którym anachronizmów nie tuszowało się sposobem aż tak frywolnym.

Bardzo na mnie napadli przyjaciele z t. zw. Obozu Katolickiego. Oburza ich nie mój styl,

sumowano strawy duchowej w takich ilościach. Nigdy — chyba na krótko przed uchwaleniem Konstytucji 3-go Maja. Herezja rosła — że trzymać się będą niefortunnego, ale za to kulinarne porównania — jak na zakwasie. Zakwas był przedni. Gdyby nie reformacja, nie mieliśmyby złotego wieku myśli i literatury. Nie mieliśmyby cywilizacji komunikującej się ze światem... Zresztą w Polsce twórczy ferment skończył się praktyczną kleską humanistycznych odstępów. Obskurantyzm katolicki zwyciężył reformatorów. Najbardziej zasłużeń dla kultury polskiej ludzie musieli uchodzić z ojczyzny. Szli przez Holandię do Anglii. Nazywano ich „Bracmi Polskimi” — odpryski ich nauki są wszędzie do dziś dnia. Głównie w Ameryce. Unikający amerykańscy odwiedzili nie dawno kraj swoich apostołów. Pisarze, którzy mówią, że są dziś obrońcami humanizmu, nie napisali ani słowa o wizycie lekarzy, wynawców absolutnego miłosierdzia i bezwzględnej miłości bliźniego...

Wszystko to powiedziałem mym oponentom, czekając wyjaśnienia. Skąd w słowniku ortodoksyjnej katolickiej sło: humanizm? Czy mam je brać dosłownie, czy rzeczywiście kościół katolicki w Polsce stoi u wrót etycznej reformy?

Przyjaciel do maru odpowiedział mi szczerze, śmiejąc się z mojej naiwności oraz indolencji w używaniu figur stylistycznych — humanizm w języku p. Malewskiego to tylko metafora.

Przyjaciel mój Adam Mauersberger przeniósł się z Łodzi do Krakowa, ponieważ z wszystkich rzeczy przyjemnych za najprzyjemniejszą rzecz uważa szperanie w książ-

Nowe książki laureata nagrody literackiej polskiej klasy robotniczej i m. st. Warszawy na r. 1946

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Drzewo rozpaczające Bagnet na broń

Cena zł. 55,-

Cena zł. 35,-

K S I A Ź K A

PRZEGLĄD PRASY

3-4 (sierpniowo-wrześniowy) Numer „Myśli Współczesnej” przynosi wstępnie trzy rozprawy z zakresu zagadnień filozoficznych: prof. Czesława Znamierowskiego „Analiza oceny moralnej”, prof. Adama Schaffa „Zasada sprzeczności w świetle logiki dialektycznej”, oraz doc. Romana Markuszewicza — rozprawkę opartą o analizę dotychczasowych oraz o wykład własnej teorii psychologicznej — „Ideały wychowawcze w przeszłości a w rzeczywistości współczesnej”.

Prof. Znamierowski w pracy swej ustala pojęcie oceny moralnej — jako „przeżytków pochodzących z przeszłości”, analizując kolejno zjawiska z przeżyciem tym związane, jak zjawisko poglądu na świat, jako ogólnej oceny egzystencjalnej, stopnia udziału czynnika wierzeniowego w kształtowaniu się ocen moralnych, zagadnienie powstawania norm i zespołów norm — systemów moralnych. Praca prof. Adama Schaffa porusza centralne, — a że względu na dotychczasowy stosunek oficjalnych katedr w Polsce, zupełnie dla polskiego inteligenta nieznanne, zagadnienie roli logiki dialektycznej w nauce współczesnej i jej stosunku do logiki tradycyjnej oraz nowoczesnej logiki matematycznej. Podstawą logiki dialektycznej jest negująca w niektórych wypadkach zasadę sprzeczności logiki tradycyjnej — zasada jedności i walki przeciwieństw. Elementy dialektyki istnieją w rozmaitych systemach filozoficznych od czasów najdawniejszych, a rozwój nauk przyrodniczych w czasach ostatnich przyniósł potwierdzenie ich istnienia w dziedzinach takich jak np. nowoczesna fizyka (jedność korpuskularnej i falowej istoty światła wg. teorii de Broglie). Klasycznym przykładem występowania zasady jedności i walki przeciwieństw są zjawiska ruchu — (słynny paradoks Eleatów). Logika dialektyczna jest logiką uwzględniającą treść procesów myślowych w odróżnieniu od logiki formalnej, która interesuje się tylko ich formą. Należy zważyć błędne mniemanie, że dialektyka i logika formalna wykluczają się wzajemnie, co zwłaszcza obecnie po podważeniu aksjomatów logiki tradycyjnej przez logikę matematyczną, nie wydaje się mieć za sobą tych racji, co w okresie gdy logika Arystotelesa uchodziła za doskonałość. „Istnieje — pisze prof. Schaff — jedna rzeczywistość, ale przy rozpatrywaniu jej są możliwe różne punkty widzenia. Istnieje punkt widzenia ruchu, który rozdziela dialektyczną oraz punkt widzenia bezruchu który rozdziela logikę formalną” (str. 52). „W każdym razie można stwierdzić, że należyte uzależnienie systemu dialektycznego, odrzucającego tradycyjną zasadę sprzeczności nie jest czymś niezwykłym na tle tendencji współczesnej logiki” (str. 349).

Praca doc. Markuszewicza jest próbą oparcia współczesnego ideału wychowawczego o biologiczno - społeczną teorię psychologiczną. Istotą tej teorii jest istnienie w człowieku dwóch postaci tego, co autor nazywa „popędem zachowawczym”, postacią dziecięcą wyrażającą dążność do zewnętrznego oparcia i dojrzałej, dążącej do oparcia o siebie samego. „Zagadnieniem podstawowym w rozwoju człowieka jest osiągnięcie przezeń równowagi psychicznej w zależności od punktu oparcia ustroju psychicznego”. Niedobudowanie infantylnej dążności do zewnętrznego oparcia prowadzi do wytwarzania ludzi biernych, niezdolnych do samodzielnego życia psychicznego i poszukujących oparcia zastępczych np. o pieniądze, stanowisko lub osoby z najbliższego otoczenia, podczas gdy jedynym oparciem człowieka o niezależność równowadze psychicznej winno być wg. autora oparcie o społeczeństwo. Po przeprowadzeniu analizy systemów wychowawczych okresu kapitalistycznego autor stawia postulaty odnośnie zasad wychowania w okresie demokracji ludowej, wypowiadając się za zasadami prowadzącymi do jaknajwcześniejszego usamodzielnienia się dziecka, za popieraniem jego aktywności i niezależności, a nawet wypowiada dość — zdaniem niżej podpisanego — ryzykowny pogląd, że należy rozpoczynać naukę dzieci „w wieku młodszym niż to jest w zwyczajach, żeby młodzież rozpoczęła mogła życie samodzielne w okresie wcześniejszym niż ma to miejsce obecnie”. Autor jest zdania, że połączenie od najwcześniejszego momentu nauki z czynną praktyką życia przyspieszy rozwój intelektualny i powłóże moment dojścia do dojrzałości życiowej z momentem osiągnięcia dojrzałości seksualnej, co jest pożądanym z punktu widzenia ogólnej psychicznej równowagi organizmu ludzkiego.

Poza omówionymi rozprawami, 3-4 Nr „Myśli Współczesnej” zawiera pracę Wojciecha Jastrzębowski, w której ujmuje on zagadnienie kolonizacji niemieckiej w dziejach Polski na tle demograficznym, i dochodzi do wniosku, że wszystkie kolejne etapy niemieckiego „drang nach Osten” aż do narodowego socjalizmu włącznie, były podyktowane wyłącznie celami politycznymi, zupełnie nie popartymi potrzebą wynikłą z przesłanek demograficznych. St. Rouppert referuje zagadnienie sztucznej promiennotwórczości, jednej z najwspanialszych zdobyczy fizyki jądrowej, za odkrywcę której uzyskali nagrodę Nobla małż. Joliot. Dalej spotykamy piękny i ciekawy referat Leona Schillera, wygłoszony na pierwszym posiedzeniu Rady Teatralnej powołanej przez Min. Kultury i Sztuki, o „Najbliższych zadaniach teatru polskiego”, poddający ostrej krytyce bolączki życia teatralnego w Polsce od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej i nacechowany pełnym wiarą optymizmem, jeśli chodzi o przyszłość. Uzupełniają numer kroniki i recenzje: kronika hiszpańska zawiera przemówienie płk. M. Szleyena w dziesiątą rocznicę wojny w Hiszpanii, ra-

dziecka (M. Wróblewski), — omawia życie kulturalne środkowo - azjatyckich republik ZSRR, prawnicza — instytucje własności w nowym projekcie prawa rzeczowego (S. Szer); przyrodniczą opracował dr J. Barski. Wśród recenzji zwraca uwagę zwięzła i lapidarna krytyka książki doc. Ostrowskiego o Kółkaju pióra dr Witolda Kuli oraz recenzja dr M. Serejskiego o książce N. Asorodobraj.

Pogłosy posiedzenia Rady Teatralnej, do których należał zamieszczony w „Myśli Współczesnej” referat L. Schillera, znajdujemy także w 3 Nr (sierpniowym) mies. „Teatr”. Zapowiadając szczegółowe sprawozdanie z przebiegu obrad Rady w następnych numerach, „Teatr” zamieszcza inauguracyjne przemówienie Min. L. Kruczkowskiego, zawierające wyraz ustosunkowania się władz państwowych Polski Ludowej do zagadnienia teatru. Poza tym w numerze znajdujemy cztery głosy w ankiecie na temat „O nowy repertuar teatrów polskich”: Wojciecha Baka, Walerego Jastrzębca, Wojciecha Natanson i Janusza Strachockiego. W zestawieniu z zapalem jakim tęgą słowa Schillera zastanawiająco brzmi sceptycyzm Baka o „dzisiaj nam dość obecnej atmosferze entuzjasmu teatralnego”. Janina Kilian - Stanisławska pisze o ludowym rosyjskim teatrze kukiel Sergiusza Obrazcowa. Niewielki urywek z poematu dram. Anny Świrszczyńskiej „Orfeusz” daje słabe pojęcie o całości. Wogóle treść numeru miesięcznika jest na poziomie nierównym: po co

zamieszcza się głupawo napisany wywiad z Solskim? Solskiemu to nie potrzebne, czytelnikowi też nie. Kronika „Z życia teatru” daje rzut oka na pracę teatrów w Krakowie, Łodzi, Katowicach, Poznaniu, Toruniu, Lublinie i na Dolnym Śląsku, oraz zagranicą — we Francji i Bułgarii.

Ostatni (15) Nr „Życia literackiego” choć zajmujący świadczy o tym, że pismo to coraz bardziej umacnia swe fortyfikacje w okopach Św. Trójcy. Pełen żołąc artykuł Romana Pollaka „Dookoła odbudowy kultury duchowej” czyniąc przegląd instytucji i wydawnictw w nowej Polsce, wyraża przekonanie, że tylko to ma wartość, co się „jak figa ucukruje, jak tytoń uleży”, nie dostrzegając nic wartościowego w inicjatywie młodej polskiej myśli naukowej, nazywając ją całą „odmianną radosnej twórczości”, a zachwyca się Piętnem, cieszy się krajoznawczą „Ziemią” tęskni do „wspaniałych” „Wierchów”, i węgierskich „Cudów Polski”. Niestety obraz duchowej kultury Polski zamknięty w rocznikach „Tygodnika Ilustrowanego” czy „Kłósów” choć urzeka sentymentem jak koronki prababek nie może stanowić treści naszej kultury w r. 1946. O „duchu” w kulturze zachodniej mówi André Siegfried w przekładzie R. Kolonickiego. K. W. Zawodziński, drukując dalsze fragmenty swego rzutu oka na literaturę polską z 1945 r., daje szereg żywych i zajmujących, choć nie zawsze zyskujących naszą pełną zgodę ocen — tym razem na temat prozy.

r. m.

LISTY DO REDAKCJI

Łódź, dnia 25 sierpnia 1946 r.

Do Redakcji „Kuznicy”

w Ł o d z i.

W związku z zapowiedzianym w prasie długometrażowym filmem „Dwie godziny” stwierdzam, iż w międzyczasie treść i ciężar gatunkowy scenariusza zostały przez realizatorów tak zmienione, że (nie przesadzając o wartości przyszłego filmu) zmuszona byłam zwrócić się do Dyrekcji Przedsiębiorstwa Państwowego Film Polski w Łodzi o wycofanie mego nazwiska jako autorki pomysłu, współautorki scenariusza i wycofanie mego tytułu „Dwie godziny”.

To krótkie wyjaśnienie winna jestem moim wieloletnim czytelnikom — i dlatego proszę inne pisma o jego przedruk.

Ewa Szemberg-Zarembka

Do Redakcji „Kuznicy”

W związku z oświadczeniem p. Ewy Szemberg-Zarembki, w sprawie scenariusza pod prowizorycznym tytułem „Dwie godziny”, stwierdzam, że przyjmuję całkowitą odpowiedzialność za poziom artystyczny scenariusza reżyserskiego.

Wszystkie zmiany w stosunku do pierwszej noweli, jak i opracowanie dialogów nastąpiły przy ścisłej współpracy z reżyserem filmu St. Wohlem, w myśl umowy zawartej z „Filmem Polskim”.

28 sierpnia 1946 r.

Jan Marcin Szancer.

Do Redakcji „Kuznicy”

W związku z artykułem Jana Marcina Szancera pt. „Kuthanomachia” zamieszczonym w Nr 34 „Kuznicy” z dnia 2.9.1946 roku, proszę na zasadzie art. 30 i 32 Ustawy o prawie prasowym, o umieszczenie w najbliższym numerze „Kuznicy” następującego sprostowania:

1) Nieprawdą jest jakoby z tytułu książki „Pan Drops i jego trupa” p. M. Szancer, osiągnął jedynie kwotę 8.000 — złotych wyplaconych w 1943 roku.

Natomiast prawdą jest, iż niezależnie od tej sumy wypłaciłem Mu w momencie przyłączenia do druku książki, czyli w maju 1945 roku, sumę złotych 15.000. — za którą zobowiązałem się mieć pieczę nad przeniesieniem Jego własnych ilustracji na płyty metalowe. Mimo wypłacenia całej kwoty z góry p. M. Szancer nie zjawił się ani razu w drukarni.

2) Nieprawdą jest, iż jak pisze Szancer, książka „Legenda warszawska” ukazała się już w drugim wydaniu. Stan faktyczny jest łatwy do sprawdzenia.

Zastrzegam sobie skutki prawne za rozpowszechnianie nieprawdziwych wiadomości. 3) Nieprawdą jest, bym odmówił wydania egzemplarzy autorskich książki „Pan Drops i jego trupa”, aczkolwiek zawarta i podpisana umowa przez p. Szancera nie o egzemplarzach nie wspomina.

Natomiast prawdą jest, że wydałem Mu część egzemplarzy osobiście i oświadczyłem, że w każdej chwili otrzyma może w wydawnictwie dalszą ilość egzemplarzy; dotychczas po odbiór egzemplarzy p. Szancer się nie zgłosił.

Odnosnie propozycji Szancera, odkupienia przez niego dwóch teczek ilustracyjnych do książki pt. „Za króla Jelonka” i „Szelmstwa Lisa - Witalisa”, to z propozycji nie skorzystam, ponieważ prace wydawnicze nad tymi książkami są już rozpoczęte.

Pozwolił sobie natomiast zaproponować Mu, nie po cenie trzykrotnej jak proponuje lecz al pari, teczki ilustracji do „Pchły Szachrajki” za które to ilustracje całkowicie zapłaciłem stosownie do umowy z dnia 14.II. 1944 roku, a których to ilustracji do dnia dzisiejszego nie otrzymałem, tak że ostatecznie książka wyszła obecnie z druku z nowy-

mi ilustracjami Czesława Wielhorskiego. Na tych samych warunkach odstąpię teczki ilustracji do książki pt. „Panieneczka z pudełeczka” na poczet której wypłaciłem dnia 30.XI. 1943 roku 50% honorarium. Ilustracji tych również nie otrzymałem i ilustracje te będę musiał wykonać po raz trzeci, ponieważ po p. Szancerze podjął pracę kto inny i wywiązał się w sposób podobny.

Eugeniusz Kuthan.

Do Redakcji „Kuznicy”

W odpowiedzi na wywody p. E. Kuthana stwierdzam:

1) Wystarałem się dla p. Kuthana o miejsce w drukarni „Styl” na wydrukowanie książki „Pan Drops i jego trupa”. Przeprowadziłem całkowitą kalkulację, wybrałem papier i udzieliłem wskazówek technicznych. W trakcie opracowania przyjechałem dwukrotnie do Krakowa, gdzie zrobiłem korektę płyt. — Nie rozumiem więc, dlaczego p. Kuthan wleciał należność za nadzór techniczny w moje honorarium autorskie.

2) O drugim wydaniu „Legend warszawskich” opowiadał mi sam p. Kuthan. — Nie jestem w stanie sprawdzić, czy to była przechwalka, czy stan faktyczny.

3) P. Kuthan obiecał mi przysłać pod moim adresem egzemplarze autorskie, nie wdziałbym więc powodu, aby przyjeżdżać specjalnie do Warszawy dla podjęcia egzemplarzy, tym bardziej, że p. Kuthan do innych autorów egzemplarze wysyła.

4) Ilustracje do „Pchły Szachrajki” zostały przeze mnie wykonane, uległy jedynie zniszczeniu w czasie powstania Warszawskiego, o czym p. Kuthan doskonale wiedział. — Zapropnowałem mi za zrekonstruowanie tych ilustracji 25.000 zł., którą to propozycję przyjąłem. Następnie bez uprzedzenia mnie powierzył książkę do zilustrowania innemu grafikowi, mimo, że nasza umowa została w mocy.

5) Legende o „Panieneczce z pudełeczka” pozostawiam bez odpowiedzi.

Jan Marcin Szancer.

Szanowny Panie Redaktorze.

W sprawie postępowania wydawcy Eugeniusza Kuthana poruszonej na łamach „Kuznicy” chciałbym i ja dołączyć swój głos. Jestem autorką żurnall mód ty. „Rewia mód”. E. Kuthan zatrzymał kilka tysięcy egzemplarzy opracowanych i wydrukowanych moim staraniem żurnall, odmawiając mi należnej zapłaty. Należność moja wynosi 181.000 złotych. Odmowie zapłaty towarzyszą zniewagi i słowne pogroźki. Jestem przez Kuthana doprowadzona do takiego stanu, że nie posiadam nawet funduszy na wystąpienie przeciwko niemu do sądu i jedyne, co mi pozostaje to podanie tych faktów do wiadomości publicznej.

Maria Bereszkiewicz Pruszków

CLAUDE AVELINE

Zjazd przedstawicieli Pen Clubu

Zjazd przedstawicieli Pen Clubu poświęcił swój pierwszy kongres powojenny na zrobienie porządków w domu. Wnioski przedstawione przez ośrodki: amerykański, norweski i dżysz stwierdziły raz jeszcze swą niezważoną zasadę szacunku dla wolności słowa, przyzwoliły jednak na ściślejsze określenie granic tej wolności, aby nie mogła ona służyć za pretekst usprawiedliwiający ogłoszenie jakiejkolwiek doktryny. Wbrew absolutnemu liberalizmowi, jaki głosił Wells w 1939 r. w Pradze, uczestnicy zjazdu wypowiedzieli się uroczyście, że wolność nie może sama sobie zadawać niszczących ciosów. Powzięto zasadniczą decyzję przedstawienia sobie nawzajem „czarnych list”. Zbyt często pisarz, którego pozabawiono godności we własnym kraju, korzysta zagranicą z niezasłużonych przywilejów, które przypadają mu tam na skutek braku informacji.

Wniosek przedstawiony przez Van Vrieland'a, prezesa ośrodka holenderskiego, wywołał sprzeciw sekretarza międzynarodowego Hermana Ould (absolutny liberalizm Wells'a utrzymuje się pośród niektórych naszych przyjaciół angielskich). Musiałem odpowiedzieć Hermanowi Ould, że jeśli Związek poczytywał sobie za chwałę usunięcie narodowych socjalistów w 1935 r. ponieważ odmówili oni potępienia autodafé książek, byłoby rzeczą niewiarygodną, aby Związek nie odwrócił się teraz od tych, którzy mogli dopuścić się autodafé mężczyzn, kobiet i dzieci. Dyskusja ta nieprzewidywana w sprawie tak jasnej, doprowadziła do przedłożenia wniosku siedemnastu głosami przeciw pięciu, przy trzech wstrzymujących się.

Należy sprzeciwić: pięć głosów przeciw były to: Szwajcaria, Stany Zjednoczone, Indie, Afryka Południowa i Irlandia Północna. Trzy głosy wstrzymujące się: Anglia (jeden z delegatów Olaf Stapedon był za, drugi Ernest Raymond przeciw). Szkocja i ośrodek emigracyjny Estończyków.

A propos emigrantów Polacy londyńscy wyrazili wobec komitatu wykonawczego pragnienie utworzenia ośrodka, któryby był autonomiczny. Kongres przegłosował wniosek o charakterze ogólnym. Haimana Ould'e głoszący, że skoro w jakimś państwie utworzony został normalnie ośrodek, nie może być utworzony inny poza granicami tego kraju. W wypadku odnoszącym się do Polski zagadnienie takie nie powstaje. Pen Club polski wydelegował swego prezesa p. Jana Parandowskiego, który wygłosił do nas przemowę w słowach poważnych a równocześnie pełnych pogody.

Trzy inne wnioski wreszcie — pierwszy ośrodka katalońskiego przeciw metodom Franco, „ostatniego rządu faszystowskiego w Europie”, drugi ośrodek chińskiego, wskazujący na zainteresowanie dla współpracy z UNESCO (które wydelegowało swego przedstawiciela na kongres) i ostatni z wezwaniem do pisarzy sowieckich, by zdecydowali się na wejście do Związku — miały usprawiedliwić potrzebę naszego zjazdu w Sztokholmie.

tlum. J. h.

Czytajcie i prenumerujcie „Kuznicę”

TREŚĆ 35 NUMERU

Rudnicki Adolf — „Wrześień”. Matuszewski Ryszard — „Sąd nad kampanią wrzesniową”. Rapacki Adam — Po rozmowie z przyjacielami z PSL (II). Kamleńska Anna — wiersz. Dębowski Stanisław — Walka o dobra szkoły. Kandyd — „Tak toczy się świat”. Vailland Roger — „Dziwna zabawa”. Mauzio — Anegdota historyczne. Grot Stefan — Thomas Atkins łamie mandolino. Bratny Roman — Spacer po pogromie. Lessel Rudolf — Z zagadnień sprawiedliwości międzynarodowej. Pióro Zygmunt i Sieradziński Józef — Głosy o Lelewelu. Ważyk Adam — Spór o poezję (rozmańkości). Przegląd Prasy. Noty.

BIBLIOTECZKA „MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ”

1. Tadeusz Kotarbiński Zasady dobrej roboty
2. Józef Chafasiński Socjologiczne założenia reformy wychowania
3. Julian Brun-Brunowicz Z dziejów współczesnej idei narodowej
4. Stanisław Ossowski Analiza socjologiczna pojęcia ojczyzny

Każdy tom w estetycznej okładce do nabycia we wszystkich księgarniach — zł. 20. —

N O T Y

„Patrioci” emigracyjni

„Sztandar Polski”, emigracyjne pismo wychodzące w Paryżu, boleje nad faktem, że Polska jest reprezentowana na Konferencji Paryskiej. Krytykuje również ostro noty angielską i amerykańską do Rządu polskiego za to, że nie zapowiadają one „wprowadzenia międzynarodowej kontroli aktu wyborczego w Polsce”.

„I tu właśnie — pisze „Sztandar polski” — tkwi najsłabszy punkt interwencji anglosaskiej. Zapytany niedawno w parlamencie brytyjskim na temat międzynarodowej kontroli wyborów polskich, rząd brytyjski w osobie wiceministra Mac Nolla oświadczył, że Anglia nie posiada prawnych podstaw, by żądać wprowadzenia takiej kontroli.

Słabość i połowiczność akcji dyplomatycznej Anglosasów tłumaczy się faktem, że podstawa prawna i moralna tej akcji jest znikła, zakłamana i politycznie błędna. Anglosasi bowiem interweniuja w Warszawie opierając się na układzie Jaltajskim. I dlatego nie trzeba liczyć się z powodzeniem tej akcji”.

Biedni emigranci! Utracili resztę rozumu w mękach długich.

Dziwna sprawa

Niemal rok temu, dn. 11 września 1945 r., uprowadzony został przez nieznaną sprawców działacz PPS — Józef Artwiński, mieszkający wsi Cieszyn, pow. Ostrów Wlkp. Artwiński, osadzony na gospodarce poniemieckiej, miał częste zatargi z rodziną poprzednika, miał też zatargi z miejscowym proboszczem, ks. Klebą, który jako Niemiec występował gorliwie w obronie uprowadzonych rzekomo volksdeutscheów. Uprowadzenie ob. Artwińskiego było szóstym z kolei wypadkiem porwania i uprowadzenia działacza społecznego na terenie tej samej gminy.

Po zlikwidowaniu bandy NSZ-u, grasującej w pow. ostrowskim, wyszło na jaw, że wspomniane uprowadzenia były jej właśnie dziełem, co się zaś tyczy Artwińskiego, sprawcami czynu byli dwaj volksdeutsche pozostający na usługach NSZ-owców „patriotów”. Ostatnio, znaleziono też przypadkiem w lesie nieoprzeżbane zwłoki Artwińskiego, który został wkrótce po uprowadzeniu zamordowany przez bandytów.

Jak informuje „Walka Ludu”, Niemiec, ks. Kleba, który wielokrotnie odgrażał się Artwińskiemu, że „zrobi z nim porządek”, po dziś dzień urzęduje najspokojniej w swojej parafii i nikt mu tego spokoju nie spieszy zakłócić.

Powiat Ostrów Wlkp. — jeśli się nie mylimy — należy do diecezji poznańskiej, czyli duchowieństwo tego powiatu podlega jurysdykcji kościelnej ks. kardynała Hłonda. Pozwalamy sobie tedy zapytać: Jak to ma być właściwie dalej z tym ks. Klebą, czy nie czas byłoby znaleźć następcę, oczywiście Polaka?

Wymowne cyfry

W wydanej ostatnio książce Władysława Brusa p. t. „Urojenia i rzeczywistość — Prawda o ZSRR”, w rozdziale „Oświata i Kultura”, znajdujemy sporo cyfr, ilustrujących rozwój kulturalny Zw. Radzieckiego w okresie porewolucyjnym (1918—1938). Oto niektóre z tych danych:

W r. 1913 było w Rosji 76 proc. analfabetów, w r. 1938 — 19 proc. Do szkół powszechnych w r. 1913 uczęszczało 7,3 mil. uczniów, w r. 1938 — 20,8 mil. Do szkół średnich — 610 tys. uczniów, a w r. 1938 — 8,6 mil. Rosja carska liczyła 91 wyższych zakładów i 112 tys. studentów, dziś jest 711 takich zakładów i 600 tys. studentów.

W r. 1913 było w Rosji 153 teatrów, w roku 1938 — przeszło 700 teatrów. W tym czasie liczba kin podniosła się z 1400 do 31.000.

W r. 1913 wydano w Rosji ok. 80 mil. egzemplarzy książek, w r. 1937 — 673 mil. Największa w ZSRR Wszeczwiazkowa Biblioteka im. Lenina w Moskwie liczy 9 mil. tomów. Biblioteka im. Saltykowa w Leningradzie 8,5 mil.

Jak się okazuje, t. zw. barbarzyńcy Wschodu nie zasympali w ciągu dwudziestolecia gruszek w popiele, lecz stworzyli szereg faktów kulturalnych

Wojna i zegarki

Okupacyjne władze amerykańskie zmuszone były postawić przed sąd pułkownika L. A. Webb'a, który usiłował przemycić przez

granice szwajcarską 12.000 złotych dolarów i 70 (!) zegarków... Zdumiewa w tym fakcie nie tyle sam zamiar amerykańskiego pułkownika, ile obfitość posiadanej przezeń kolekcji zegarków.

Pałk. Webb nie jest — pod względem tych zamiarów — wyjątkiem w armii USA. Mówią o tym dość wyraźnie protokoły policji różnych miast francuskich, mówi też o tym głośna awantura w Lucernie, gdzie grono urlopowanych żołnierzy amerykańskich obrabowało z zegarków wielki sklep jubilerski.

W świetle tych zdarzeń traci walor podtrzymywana przez niektóre teorie, jako by nadmierne upodobanie do zegarków było cechą, właściwą jedynie ludziom określonych narodowości i pochodzenia. Przygody płk. Webb'a i wielu jego towarzyszywni broni dowodzą, iż zegarkowe zamiłowania kolekcjonerskie stanowią namiętność — jeśli tak rzecz można, samą w sobie, niezależną od szerokości geograficznej i charakteru otoczenia.

Wojna rozwija — zwłaszcza wśród bezpośrednich uczestników — zamiłowania kolekcjonerskie i to nie tylko w dziedzinie zegarków. Oto przykład.

Przed sądem wojskowym w Berlinie stanęła pani Athleen Durant, były oficer amerykańskiej służby pomocniczej, oskarżona o przywłaszczenie klejnotów na sumę 1.500.000 dolarów. Klejnoty powierzono jej opiece, jako zarządczyni klubu oficerskiego w Kronberg pod Frankfurtem.

Ze pani Durant miała pociąg do błyskotek, łatwo to zrozumieć, choć w danym razie ta skłonność przekroczyła miarę przyzwoitości. Ale godnym podziwu jest fakt, że w klubie oficerskim nagromadziła klejnotów aż na sumę półtora miliona dolarów. To już przecież nie klub oficerski, ale raczej sklep jubilerski.

Ach, ci kolekcjonerzy!..

Psychoanaliza i fakty

Pan J. w „Tygodniku Powszechnym” (Nr. 76), stara się raz jeszcze przekonać czytelników, że niesłusznie posadzono opinię odłamu katolickiego, reprezentowaną przez to pismo, o powolność w reagowaniu na wypadki kieleckie. Pan J. wyjaśnia, że zdanie takie mogło powstać dlatego, że „Tygodnik Powszechny” jest postdatowany. Chętnie wierzymy w to wyjaśnienie, tym bardziej, że natychmiast po przeczytaniu oświadczenia pisarzy katolickich w „Tygodniku Powszechnym”, przedrukowaliśmy je w „Kuznicy”. Żadnego aktu wzajemności w tej sprawie, która powinna zatręć wszelkie antagonizmy, dzielące „Tygodnik Powszechny” od „Kuznicy”, nie zdołaliśmy jednak zauważyć! Przy okazji prosilibyśmy pana J. o rozproszenie jeszcze kilku mylnych wrzeń. Zauważyliśmy, że „Tygodnik Powszechny” w stosunku do „Kuznicy” posługuje się metodą psychoanalizy. (W tymże numerze nota „Kompleks”). Jak wiadomo jest to znakomita metoda polemiczna, pacjent psychoanalizy musi milczeć, bo świadomość jego nie ma tu nic do rzeczy. Taką metodą można wzmówić w babkę wasy, a w dziadka pieprzeczki. Nie jesteśmy tak biegli w psychoanalizie, ani w zastosowaniu jej, jak organ Kurii Książęco - Metropolitańskiej, ale co jak co, uporczywie lapsusy terminologii świadczą niedobrze o pacjencie i podobno najbardziej zdradzają ukryte myśli. Pan J. uporczywie stara się nas przekonać, że redakcja, która stawia datę późniejszą od daty faktycznego ukazania się nakładu, nie postdatuje, ale przeciwnie — antydatuje. Nie dociekamy, dlaczego myśli o antydatowaniu tak uporczywie przesładuje pana J., że aż pokielbasila mu terminologię, ale co do nas, panie J., my tylko postdatujemy! Ponadto pan J., który tak żali się na mylnie informacje w prasie, kilkakrotnie pisze w tej notatce o jakiejś zależności wydawniczej „Kuznicy” od Spół. Wyd. „Książka”. Niestety, to już nie wykryty, dopraszające się psychoanalizy, ale zwyczajne pana J. bujanie w powietrzu.

„Kuznica”, która stanowi odrębną instytucję wydawniczą, tyle ma właśnie wspólnie ze Spół. Wyd. „Książka”, co ze Spół. Wyd. „Wiedza” i szeregiem innych, ruchliwych zresztą wydawnictw, czyli po prostu nic. Wszystko się panu J. pokielbasilo. Takie są skutki przebywania w towarzystwie psychoanalityków. I po cóż jeszcze bronić manii rozszyfrowywania inicjałów? Jak tropić, to już raczej kompleksy. Jeśli współpracownik pisma podpisuje się inicjałami, które łatwo zidentyfikować z literami jego

imienia i nazwiska, to nie dlatego, że chciałby się ukryć, ale widocznie dlatego, że poruszył temat tylko okolicznościowo. Noty mają specjalny ton, nieraz żartobliwy. Nie wypada inicjałów rozszyfrowywać, bo wchodzi tu w grę imponderabilia oddawna uznane w świecie cywilizowanym. Proponujemy przez pana J. zmiany obyczajów nie wprowadzimy i w tej chwili zabawiamy się w psychoanalizę wyłącznie z panem J. a nie z jego pełnym nazwiskiem. W „Kuznicy” raz tylko jeden zdarzyło się wykroczenie przeciwko tej zasadzie i mogę zapewnić pana J., że z tego powodu niżej podpisany urządził w Redakcji awanturę. Ogromnie dożyłszy pan J., wie już, kto to jest J. K., A. K., Ph. M., M. J., K. i inni, nie udało mu się tylko dociec, kto ja jestem. A to bardzo proste. Jestem Redakcyjnym Karabinem Maszynowym, obsługiwany przez zmieniającą się załogę. Do przyszłego spotkania.

rkm

List byłej ekspedientki

Redakcja „Szpilek” przesyła odpis następującego listu, który otrzymała z Głwice:

Uprzejmie proszę o wyjaśnienie, co miał na myśli Jan Kott, pisząc w artykule „Mury Jerycha” (Kuznica, Nr. 31) o „bełkocie ekspedientek w ciąży”. Jako była ekspedientka (na szczęście nie zdarzyło mi się być wtedy w ciąży), pragnęłabym, aby Szanowna Redakcja popularnie udostępniła „Przesłędzenie” (!) biega myśli Jana Kotta, który aż dwa razy w jednym artykule tak niezmiernie lekceważąc potraktował pewne kategorie ludzi pracy.

Niewątpliwie Jan Kott nigdy i za żadną cenę nie przyjąłby stanowiska referenta w VI stopniu służbowym, choćby dlatego, że „jakżeż referent w VI stopniu służbowym, uwodząc urzędniczkę na pocztę, może coś mądrego i trafnego powiedzieć”.

Wprawdzie Jan Kott pominął stopień służbowy uwodzonej urzędniczki na pocztę, jednak dziwnie wydaje mi się w czołowym piśmie Polski demokratycznej i przez niepośledniego publicystę określenie poziomu umysłowego i stopnia kultury — stopniem służbowym, czyli po prostu — grupa uposażenia.

Czy to nie zbyt już dla nas ekspedientek i referentów — niedostępne szczyty wyrażania intelektualnego?

Ludmiła Dembowska

Hej, cyganie, graj, cyganie!

Nie wiem ile ich było przed wojną, bo nie mogłem znaleźć danych w żadnym roczniku statystycznym. Wiem natomiast, że przeszli mękę straszliwą, że cierpienia, które ich dotknęły, dorównywały martyrologii, jaką przeżyli Żydzi. I wiem jeszcze, że gdy przed wojną wszędzie można ich było spotkać, to dziś spory szmat możecie krain przejechać wzdłuż i wszerz, zanim spotkacie Cygana. Zostało ich w Polsce około 5 tysięcy.

W Łodzi jest Cyganów tysiąc. To już największe skupisko cygańskie w Polsce. Mieszkają na Bahutach. Na ruinach łódzkiego ghetta założyli swoje zrujnowane domowe ogniska. Na gruzach nie potrzebne były decyzje komisji i urzędów mieszkaniowych — przyjechali polscy Cyganie do Polski i na terenie systematycznie niszczonego przez rodzimego rabusia osiedli, oceniając w ten sposób kilkadziesiąt zajętych przez siebie mieszkań od całkowitego zniszczenia. Bo przez rok niespełna od chwili wyzwolenia miasta, ghetta łódzkie, którego nie zdążyli zrujnować do gruntu Niemcy, zostało zamienione przez metę społeczne w kupę ceglatego żwiru.

Byłem u Cyganów jeszcze wiosną. Poznałem ich swoistą organizację, przyjrzałem się ich nędzy. To nędza i głód wyganiają Cyganki na ulicę z kartami do wrócenia, to bieda i niedostatek zmuszają ich do kradzieży! Żaden człowiek nie rodzi się z takimi skłonnościami — stwarzają je warunki spotęgowane pogardą i nienawiścią społeczeństwa. Bo patrzcie: otożsamialiśmy naturę Cygana z naturą koczownika — dziś, gdy mają mieszkania, nie wędrują. Przed wojną nawet mieszkań nie mieli. W Rosji radzieckiej, gdzie otrzymali autonomię, gdzie państwo zajęło się nimi i wprowadziło dorosłych do fabryk, a dzieci do szkół, Cyganie nie wróżyli i nie koczują, obdarci i wygłodzeni. U nas została ich garstka. Czy wiecie ktokolwiek, jakie są ich wizerunki? Przecież i Cyganie są Chrześcijanami! Czy zna ktoś ich dziwnie brzmiący, obcy język? Przecież należy on do najprzerwniejszych języ-

ków grupy aryjskiej! Czy zainteresował się ktoś ich dziećmi, by je do szkoły posłać? A ile talentów w ten sposób ginie? Czy wiecie, że Cyganie są świetnymi fachowcami w dziedzinie kotlarstwa? A Polska potrzebuje dziś każdej pary rąk! Nie, nie ma „kwestii” cygańskiej i broń nas Bóg od jakiegokolwiek podobnych „kwestii”. Ale Cyganie polscy są polskimi obywatelami i są przede wszystkim ludźmi, a nie zrobiono, aby upamiętnić ich egzotyczny folklor, zająć się ich językiem, jak to czynił jedyny w Polsce prof. Jan Rozwadowski, i nie zrobiono, aby ich śniada siostra nie szarżała od głodu i aby nie marnowali się ludzie obok nas, przy naszej niewiedzy i obojętności.

Natomiast odważył się brukowiec łódzki w obszernym artykule wystąpić przeciwko tej garstce odmiennych od nas ludzi, ośmielił się zasugerować społeczeństwu ich niższość. Jako żywo, byłem w Łodzi dnia 6-go sierpnia br., ale dopiero z „Expressu” dowiedziałem się, że miał tego dnia miejsce „formalny najazd cyganów na nasze miasto”. Anonimowy p. (o) pisze w pięknym stylu o „rozczochnych cyganichach”, które domagają się wsparcia i o „leniuchującym rdzie męskim”, który o, zgrozo, „zachowuje się bardziej dystyngowanie” niż przed wojną. Pana (o) raża „europejskie” ubranie Cyganów, ale nie zwrócił uwagi na to, że od roku już w nich Cyganie chodzą, t. j. od chwili, gdy zrzuciwszy pasiaki zdobyli gdzieś w domach niemieckich swoje obecne ubiory. Tak samo, jak wszyscy inni więźniowie obozów koncentracyjnych, panie (o)! Ale czy zastanowił się pan, co zrobić aby Cyganie nie leniuchowali, a ich dzieci nie włożyły się po ulicach? Pan (o) opisuje oblężenie miłicji, która zastała w pewnym miejscu „kilku pljanych o satej lbaży Cyganów. Rozrzucone dokoła pióra gęsie wskazywały, iż odbyła się uczta nielada. Nie trudno się domyśleć, skąd się wzięła na półmisku cygańskim tłusta gęś...” Ale pana (o) wcale nie interesuje, ile Cyganów nie widzi kromki chleba przez dzień cały, jeśli „kochanki”, jak pogandlwie nazywa kobiety cygańskie, nie przyniosą nędznego zarobku do nędznego domu. Pan (o) ostrzega: „Nie wiemy kiedy opuszczą (Cyganie) nasze miasto. Do tego czasu zalecamy jednak ostrożność: nie pozostawiajcie mieszkań bez opieki...” Czytamy uważnie prasę, ale wśród sprawców licznych kradzieży popełnianych na terenie naszego miasta nie spotkałem jeszcze cygańskiego nazwiska. A przed rodzinnymi złoczyńcami jakoś i opieka nie zawsze pomaga.

Tego rodzaju wystąpienia wywołują echo. Może dzięki nim właśnie na ul. Południowej kilku przechodniów pobilo w mojej obecności i wbrew wszelkiej interwencji starą Cyganke. Skoro tępiemy rasizm, skoro chcemy podnieść poziom moralny człowieka, to pamiętajmy, że Cygan jest takim samym „na obraz i podobieństwo boskie” jak my stworzonym człowiekiem.

A nasze władze miejscowe mogłyby się nareszcie tą sprawą zająć.

P. S. Od moich zaś szanownych anonimów, którzy, gdy pisałem o Żydach, ordynarne mi przysłały listy z wymysłami od Żydów, oczekuję teraz podobnych elaboratów, stwierdzających, że jestem Cyganem. Nawiasem zaś przypominam im, że pisałem jeszcze o Mazurach, Warmiakach i Łużyczanach. Więć czekam.

mm

List z Kopenhagi

List, który kilka dni temu otrzymałem z Kopenhagi od jednego z kolegów bawiących w Danii na ćwiczeniach medycznych (pojechali tam na zaproszenie rządu duńskiego) brzmi następująco:

„Proszę Cię o szybka odpowiedź w związku ze sprawą, która nas wszystkich tutaj bardzo męczy. Chodzi mianowicie o wypadki kieleckie... W ogóle pisz o wszystkim, co się dzieje w Polsce, bo prasa zagraniczna wszystko niesamowicie wypacza i często jesteśmy zdezorientowani albo w każdym razie nieinformowani o najważniejszych rzeczach. Ołbrzymia większość Duńczyków wykazuje niesamowitą ignorancję w sprawach polskich... Na razie zamknij tylko o ich stosunku do ekscesów kieleckich. Otóż rzadko który daje sobie wytłumaczyć, że to robota leśnych faszystowskich band. W zasadzie zgadzają się na to, ale po chwili znowu wypływa w rozmowie, że „Polakerna döden Jödiske”. Stosunek ludności do nas bardzo ochłodł, a jedna z naszych opiekunek... wrecz oświadczyła profesorowi Berowi, że nie widzi przyszłości dla którejś, Duńczycy, mają się dzielić swoim przydziałem masła z ludźmi, którzy mordują swoich bliźnich... Odczuwa się upokorzenie i bezsilną wściekłość...”

mm

CENY OGŁOSZENI: 7 linijna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Probne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpalcie.

Redaguje Zespół „Kuznicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D-011023

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

Wydawca: Zespół „Kuznicy”. — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Nr. 4, ul. Zwirki 2.